

**GEORGES SIMENON**

**TAJEMNICA KOMISARZA  
MAIGRET**

**TYTUŁ ORYGINAŁU MAIGRET ET LE VOLEUR PARESSEUX  
PRZEŁOŻYŁA MARIA WISŁOWSKA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hałaśliwe brzęczenie tuż nad głową zbudziło Maigreta. Mimo woli, oganiając się ręką od tego hałasu, otworzył oczy. Zdawał sobie wprawdzie sprawę, że jest u siebie w domu, we własnym łóżku, obok żony, która zbudziwszy się wcześniej leży cichutko po ciemku i nie ośmiela się odezwać, nie wiedział jednakże, przynajmniej przez kilka sekund, skąd pochodzi to brzęczenie — natarczywe, agresywne, nagłace. Mylił się co do jego pochodzenia. Takie pomyłki przydarzały mu się tylko w nocie zimowe, zwłaszcza mroźne.

Wydawało mu się, że to dzwoni budzik, chociaż odkąd przestał być kawalerem, nie stawił już budzika na nocnej szafce. W nocy powracały do mego mgliste wspomnienia — już nawet nie z wczesnej młodości, lecz z odległego dzieciństwa jako mały chłopiec służył do mszy i musiał wstawać bardzo wcześnie, by zdążyć na prymarię.

Służył do mszy o szóstej rano nie tylko w zimie, ale i latem, wiosną, jesienią. Dlaczego więc pozostało w nim i powracało stale wspomnienie jedynie zimowych ciemności, przejmującego mrozu, skostniałych palców i chrzęszczącej pod dziecinnymi bucikami cienkiej skorupki lodu, gdy szedł do kościoła?

Wyciągniętą po ciemku ręką przewrócił szklankę stojącą na nocnej szafce obok łóżka, i wówczas pani Maigret zaświeciła lampkę nad wezglowiem.

Dzwonił telefon.

— Halo? Kto mówi?

Była godzina czwarta, dziesięć po czwartej, za oknem panowała ogromna cisza, jak to zwykle bywa w bardzo mroźne nocie zimowe.

— To ja, Fumel, panie komisarzu...

— Kto?

Maigret nie dosłyszał. Ów ktoś mówił tak cicho, jakby zasłaniał usta chusteczką:

— Fumel, z szesnastki...

„Głos miał stłumiony, jakby obawiał się, że usłyszy go ktoś niepowołany.

Po krótkiej chwili ciszy — komisarzowi Maigret widocznie nic nie mówiło to nazwisko — dorzucił tytułem wyjaśnienia:

— Arystydes...

Arystydes Fumel — ach, to on! Maigret, już całkowicie przytomny, zmarszczył brwi: po kiego diabła inspektor Fumel, z szesnastki, budzi go o czwartej nad ranem!

I dlaczego głos jego brzmi tak tajemniczo, jakby umyślnie przyciszony?

— Nie wiem, może nie powinienem był telefonować do pana, panie komisarzu... Zaalarmowałem już mojego bezpośredniego zwierzchnika, komisarza policji... Kazał mi zawiadomić prokuratora i właśnie przed chwilą rozmawiałem telefonicznie z dyżurnym wiceprokuratorem...

Pani Maigret już wstała, odszukała czubkiem stopy pantofle ranne i otulona pikowanym szlafrokiem udała się do kuchni, skąd po chwili rozległo się syczenie zapalonego gazu, a później odgłos wody nalewanej do czajnika.

— Nie wiem, co robić... Pan wiceprokurator kazał mi na miejsce i czekać na siebie. To nie ja wykryłem zwłoki, tylko dwaj policjanci, patrol rowerowy...

— Gdzie?

— Słucham?

— Pytam gdzie.

— W Lasku Bulońskim... Route des Poteaux... Wie pan, gdzie to jest?... Ta droga wychodzi na aleję Fortunée, niedaleko Porte Dauphine.. Mężczyzna... w średnim wieku... Mniej więcej w moim... O ile się zorientowałem, w kieszeniach nie ma nic, żadnych dokumentów... Ciało nie ruszałem oczywiście... Nie wiem dlaczego, ale jakoś mi się wydaje, że jest tu coś dziwnego... niezwykłego.. I dlatego pozwoliłem sobie zadzwonić do pana

komisarza... Wolalbym jednak, żeby ci z prokuratury nie wiedzieli, że to ja do pana telefonowałam...

— Dziękuję ci, Fumel.

— Wracam tam natychmiast... Oni mogą się zjawie lada chwila...

— Gdzie jesteś teraz?

— W komisariacie przy ulicy de la Faisanderie. Przyjedzie pan? Zaraz?

Maigret wahał się przez chwilę, wciąż jeszcze nie mogąc rozstać się z ciepłym łóżkiem.

— Zobaczę.

— Słucham?

— Nie wiem jeszcze. Zobaczę.

Czuł się upokorzony, wściekły, zresztą nie po raz pierwszy. I tak już trwa od pół roku. Biedaczysko Fumel nic nie jest temu winien.

Pani Maigret, stojąc w drzwiach, już mu przypominała:

— Ubierz się ciepło!

Na szybach, po rozsunięciu zasłon, widać było kwiaty ze szronu. Wokół latarni szkliły się świetliste aureole, tak jak to bywa tylko przy bardzo niskiej temperaturze. Na bulwarze Richard-Lenoir panowała głucha cisza, nie było żywej duszy, tylko w jednym jedynym oknie, w domu naprzeciwko, być może w pokoju chorego, świeciła się lampa.

Teraz oni będą się dobrze musieli nagłowić, zanim... „Oni” — to ci ludzie z prokuratury, z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zwolennicy nowej koncepcji, absolwenci słynnych uczelni... Postanowili zreorganizować cały świat na miarę swoich przyziemnych idei. Dla nich policja to tylko ukryty, nieco wstydlivy mechanizm na usługach Sprawiedliwości przez duże S. Wobec policji należy się trzymać zasady: nie spuszczać jej z oka, nie darzyć zbytnim zaufaniem., ograniczać pole działania, wyznaczać rolę podrzędną, służebną — i na tym koniec!

Fumel należy jeszcze do starej gwardii, tak samo jak Janvier, jak Lucas, jak ze dwudziestu dawnych współpracowników Maigreta — wszyscy inni natomiast przystosowali się do nowych metod i nowych instrukcji i nie myślą o niczym innym, tylko o egzaminach, które umożliwią im szybki awans.

Biedny Fumel! Ten nigdy nie będzie awansował. Przyswojenie sobie najprostszycch prawideł ortografii, nie mówiąc już o zredagowaniu raportu, przekraczało jego możliwości.

Prokurator żąda, żeby jego zawiadamiano pierwszego: Musi być pierwszy na miejscu zbrodni, a wraz z nim przybędzie sędzia śledczy, obaj na pół śpiący, i obaj ci panowie będą wypowiadali się z takim tupetem, jak gdyby całe życie nie robili nic innego, tylko znajdowali zwłoki w zgoła nieoczekiwanym miejscu, a świat przestępczy znali jak własną kieszeń.

Policja zaś... No cóż, policja niech wypełnia polecenia: robić to a to... Zatrzymać taką a taką osobę... Doprowadzić ją do mojego gabinetu... A przede wszystkim nie zadawać żadnych pytań!... Byle w zgodzie z regulaminem!

Tak, nie ma nic ważniejszego niż regulamin, przepisy wykonawcze... A tych przepisów jest tak wiele! Dziennik oficjalny ogłasza tak liczne teksty, często sprzeczne ze sobą, że oni sami się w nich gubią i żyją w ustawicznym strachu, by nie popełnić jakiegoś błędu, co później, podczas rozprawy sądowej, wyciągną obrońcy oskarżonych.

Maigret ubierał się, wciąż jeszcze zły, naburmuszony. Dlaczego człowiekowi zbudzonemu nagle w noc zimową wydaje się, że kawa ma jakiś dziwny, metaliczny smak? Nawet zapach w mieszkaniu jest jakiś inny, przypomina dom rodzinny z czasów dzieciństwa, wówczas kiedy Maigret jako mały chłopak musiał wstawać o wpół do szóstej rano, żeby zdążyć na pierwszą mszo do kościoła.

— Zatelefonujesz na Quai des Orfèvres, żeby przysłali ci samochód?

Przecież nie jedzie tam zawiadomiony oficjalnie... Nie... lepiej sprowadzić telefonicznie taksówkę.

Nikt nie zwróci mu na pewno za kurs, chyba że — o ile to rzeczywiście zbrodnia — wykryje sprawcę bardzo szybko. Zwracają za taksówki tylko w wypadkach uwięzionych powodzeniem. I nawet wtedy trzeba jeszcze udogodnić, że nie było innego środka lokomocji.

Żona podawała mu już ciepły wełniany szalik.

— Rękawiczki masz?

Przeszukał kieszenie płaszcza.

— Może byś zjadł coś przed wyjściem?

Nie, nie był głodny. Wyglądał tak, jakby był nadąsany, a przecież w głębi duszy najbardziej lubił takie właśnie chwile jak ta i może ich właśnie najbardziej będzie mu brak wówczas, gdy przejdzie na emeryturę.

Przed domem stała już taksówka, kłęby pary wydobywały się z rury wydechowej.

— Do Lasku Bulońskiego... Wie pan, gdzie jest Route des Poteaux?

— A jak miałbym nie wiedzieć? Złe by ze mną było, gdybym po trzydziestu pięciu latach harówki nie znał miasta...

Tak, starzy ludzie dumni są ze swego doświadczenia.

Na Champs Elysecs z rzadka ukazywały się pierwsze autobusy lub przemykały prywatne samochody. Niektóre okna były oświetlone; to pewno sprzątaczkę w biurach zaczynały pracę. Inne lokale, jak bary czy kafejki, były jeszcze pozamykane.

— Znów gdzieś jakąś dziwkę sprzątnęli?

— Nie wiem...

— Wątpię, czy by która znalazła klientów w Lasku Bulońskim w taki mróz.

I fajka dziś jakoś inaczej niż zwykle smakowała Maigretowi. Chuchając w zgrabiące ręce zastanawiał się, od jak dawna nie widział Fumela. Wyliczył, że chyba ze trzy miesiące. A zna go... jak długo? Zapewne od tego czasu, kiedy sam rozpoczął pracę w policji w komisariacie dzielnicowym.

Fumel już wtedy, jako całkiem młody człowiek, uchodził powszechnie za brzydala; jedni użalali się nad nim, inni śmieli się z niego, przede wszystkim dlatego, że jego rodzicom nie wiadomo dlaczego wpadło do głowy nawet mu pompatyczne imię „Arystydes”, a po drugie dlatego, że Fumel, mimo swej mało atrakcyjnej powierzchowności, wiecznie miewał historie miłosne i dramaty sercowe.

Ożenił się wcześniej, lecz żona rzuciła go po roku. Wyjechała, nie zostawiając adresu. Niebo i ziemię poruszył, żeby ją odnaleźć. Całymi latami pilnował, żeby jej rysopis Znajdował się w kieszeniach wszystkich policjantów i wszystkich żandarmów Francji, i za każdym razem, gdy dowiadywał się, że wyłowiono z Sekwany zwłoki kobiety, biegł do kostnicy w obawie, że rozpozna ukochaną małżonkę.

Na temat tej wytrwałej miłości krążyły legendy.

„Nie mogę wyzbyć się myśli, że przydarzyło jej się jakieś nieszczęście. Ludzie będą mówili, że to z mojej winy...”

Jedno oko Fumel miał jaśniejsze od drugiego, prawie przezroczyste, co sprawiało wrażenie, że jest zezowaty.

— Nie przestanę jej kochać, dopóki żyję — zapewniał. — I jestem pewien, że jeszcze kiedyś ją odnajdę... — I nadal nie tracił nadziei, choć był już po pięćdziesiątce. Ta wielka miłość nie przeszkadzała mu zresztą co jakiś czas tracić głowy dla innej kobiety, lecz los zawziął się na niego, każda bowiem z tych przelotnych miłostek pociągała za sobą różne nieprzewidziane komplikacje. Był widocznie skazany na rolę nieszczęśliwego kochanka.

Tych historyjek miłosnych w jego życiu było tak wiele, że naraził się na przykre podejrzenie, iż zajmuje się paniami niejako zawodowo. Pozory świadczyły przeciwko niemu. Omal nie wyleciał za to z posady.

A przecież ten Fumel, taki niezaradny, taki niedołęga w sprawach osobistych, był jednocześnie jednym z najlepszych, najbardziej sprężystych inspektorów policji paryskiej!

Taksówka minęła Porte Dauphine, skręciła w prawo i wjechała do Lasku Bulońskiego. Z daleka widać już było migotanie latarki kieszonkowej. Dalej, na poboczu alei, poruszały się cienie ludzkie.

Maigret wysiadł z taksówki, zapłacił za kurs. Jeden z cieni zbliżył się do niego.

— Dobrze, że pan już przyjechał, panie komisarzu... — wyszeptał Fumel, przytupując nogami dla rozgrzewki. — Ich jeszcze nie ma.

Dwa rowery stały oparte o drzewo, a dwaj policjanci w krótkich pelerynkach również tupali nogami w zlodowaciałą ziemię; stojący obok nich niewysoki mężczyzna w popielatym kapeluszu raz po raz spoglądał na zegarek, nie mogąc ukryć zniecierpliwienia.

— Pan pozwoli, że się przedstawię: doktor Boisrond — rzekł.

Maigret uściśnął mu dłoń z roztargnieniem, gdyż uwagę jego pochłaniał ciemny kształt leżący pod drzewem. Fumel rzucił nań snop światła z latarki kieszonkowej.

— Chyba, panie komisarzu — zaczął — nie będzie miał mi pan za złe, że pana tu ściągnąłem... Wydaje mi się, że to jakaś niezwykła sprawa... Tu jest coś niewyraźnego.

— Kto wpadł na to pierwszy?

— Dwaj policjanci z patrolu rowerowego. Objeżdżali teren w nocy.

— Która to była godzina?

— Trzecia, dochodziło wpół do czwartej... W pierwszej chwili myśleli, że to jakiś worek rzucony pod drzewem...

Na trawie, pokrytej szronem i sztywnej od mrozu, leżał człowiek, tworząc rzeczywiście jakiś nieokreślony kształt. Był skurczony, prawie zwinięty w kłębek, i tylko jedna ręka sterczała na zewnątrz, z dłonią zaciśniętą, jak gdyby chciał w niej coś zamknąć i zatrzymać.

— Przyczyna śmierci chyba jeszcze nie ustalona? — zwrócił się Maigret do lekarza.

— Nie ośmieliłem się dotknąć zwłok przed przybyciem władz, ale o ile można sądzić na oko, czaszka została zmiążdżona na skutek jednego silnego czy wielu ciosów zadanych jakimś ciężkim narzędziem.

— Czaszka zmiążdżona ciężkim narzędziem... — powtórzył Maigret, jakby chciał wbić w pamięć słowa lekarza.

Nachylił się i w świetle latarki dostrzegł twarz tak zmasakrowaną, że nie można było rozpoznać rysów. Tworzyła jedną krwawą masę.

— Nie mogę twierdzić z całą pewnością przed dokonaniem sekcji, ale podejrzewam, że ciosy te zostały zadane wówczas, kiedy ten człowiek już nie żył lub co najmniej był w agonii.

Fumel, ledwo widoczny w ciemności, wtrącił:

— Teraz pan rozumie, dlaczego wyciągnąłem pana z łóżka, szefie?

Ubranie denata było w dobrym gatunku, nie przesadnie eleganckie, lecz takie, jakie noszą na przykład urzędnicy czy niezłe uposażeni emeryci.

— Mówisz, że w kieszeniach nie ma nic?

— Badałem ostrożnie, ale nic nie wyczułem pod palcami... Niech pan sam rozejrzy się dookoła, panie komisarzu.

I Fumel zatoczył krąg światła latarką nad głową leżącego. Nigdzie nie było widać śladów krwi.

— Nie tutaj, nie w tym miejscu został zabity. Doktor jest tego samego zdania. Biorąc pod uwagę liczne rany, powinien był krwawić obficie. Przewieziono go do Lasku najprawdopodobniej samochodem. Sądząc z jego pozycji, można przypuszczać, że ci, którzy go tu przywieźli, wyrzucili go po prostu z bagażnika, nie fatygując się nawet specjalnie.

Lasek Buloński milczał znieruchomiały, zastygły jak dekoracja teatralna i tylko daleko za drzewami pobłyskiwały mlecznym światłem latarnie uliczne.

— Uwaga!... Zdaje się, że nadjeżdżają ..

Od strony Porte Dauphine rzeczywiście nadjeżdżał długi, czarny samochód i Fumel pobiegł mu naprzeciw, przyświecając sobie latarką.

Maigret, pykając niewielkimi kłębam dymu z fajki, stanął na uboczu.

— To tutaj, panie prokuratorze... Komisarz dzielnicowy poszedł do telefonu, aby sprowadzić karetkę pogotowia, zaraz pewno wróci...

Maigret rozpoznał w wysiadającym z samochodu wiceprokuratora Kernavela. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, wysoki, szczupły, elegancki.

Tego drugiego, który wysiadł z samochodu, Maigret znał również, chociaż współpracował z nim rzadko. Był to sędzia śledczy Cajou, lat około czterdziestu. Człowiek ten starał się zawsze lawirować między starymi a nowymi przepisami, tak żeby nie narażać się nikomu. Trzeci, protokolant, usunął się na bok, żeby trzymać się jak najdalej od trupa, jak gdyby się bał, że sam widok przyprawi go o torsje.

— Kto...? — zaczął wiceprokurator, a gdy dostrzegł Maigreta, zmarszczył brwi i dodał: — Przepraszam. Nie zauważyłem pana. Jak to się stało, że pan się tutaj już znalazł?

Maigret poprzestał na bliżej nie określonym goście odpowiedział w sposób jeszcze bardziej mglisty:

— To przypadek...

Wiceprokurator Kernavel, nie ukrywając niezadowolenia, zdecydował się rozmawiać wyłącznie z Fumelem.

— Co tu się właściwie dzieje?

— Dwaj policjanci, patrolujący teren na rowerze, zauważyli mniej więcej przed godziną leżące pod drzewami zwłoki. Zawiadomiłem komisarza policji, a on kazał mi powiadomić telefonicznie prokuratora. Potem zadzwoniłem do doktora Boisrond...

Wiceprokurator poszukał oczyma lekarza.

— Co pan stwierdził, doktorze?

— Na pierwszy rzut oka rozbita czaszka, prawdopodobnie liczne złamania w innych miejscach, twarz całkowicie zmasakrowana...

— Wypadek drogowy? Może został potrącony przez samochód? Jak pan sądzi?

— Został uderzony kilkakrotnie, najpierw w głowę, potem w twarz, jakimś tępym narzędziem.

— Jest pan pewien, że to było morderstwo?

Maigret mógł tylko zachować milczenie, pozostawiając sprawy własnemu biegowi. Nie zbliżył się nawet o krok.

— Czy nie zyskalibyśmy na czasie, sprowadzając specjalistów z Wydziału Ustalania Tożsamości?

Wiceprokurator zwracał się tylko i wyłącznie do Fumela.

— Niech któryś z policjantów idzie do najbliższego telefonu.

Miał nos zsiniały z zimna. Wszyscy stojący nad ciałem byli przemarznięci do szpiku kości.

— Włóczęga?

— Ubranie nie świadczy o tym, żeby to mógł być włóczęga. Notabene, w takie zimne noce włóczędzy nie mają czego szukać w Lasku.

— Obrabowany?

— O ile mi wiadomo, w kieszeniach pusto.

— Ktoś, kto wracał do domu i został napadnięty?

— Nie widać śladów krwi na ziemi. Doktor przypuszcza, a ja się do tego przychyliam, że zbrodni dokonano gdzie indziej, a później zwłoki przewieziono i rzucono tutaj.

— W takim razie to prawdopodobnie porachunki osobiste.

Wiceprokurator Kernavel powiedział to tonem stanowczym, nie dopuszczającym sprzeciwu, zadowolony, iż udało mu się tak szybko znaleźć rozwiązanie problemu.

— Morderstwo mogło być popełnione na przykład na Montmartre, a sprawcy, chcąc pozbyć się ciała, przywieźli je tu i wyrzucili na skraj drogi i po chwili zwrócił się do Maigreta;

— Nie sędzę, panie komisarzu, żeby ta sprawa mogła pana zainteresować. Pan, o ile się nie mylę, prowadzi obecnie śledztwo w innej sprawie, chyba, ważniejszej niż ta. Jak daleko się pan posunął, jeśli chodzi o ten napad rabunkowy na urząd pocztowy w dzielnicy trzynastej?

— Nie posunąłem się jeszcze wcale.

— A jak z poprzednimi napadami? Ile ich było w ciągu ostatnich dwóch tygodni w samym Paryżu?

— Pięć.

— Taką właśnie liczbę zapamiętałem. Dlatego byłem tak bardzo zaskoczony widząc pana tutaj interesującego się sprawą tak drobną, doprawdy bez znaczenia.

Nie po raz pierwszy Maigret słyszał tę śpiewkę. Panowie z prokuratury byli na dobre zaniepokojeni „wzbierającą falą przestępczości”, jak to nazywali, zwłaszcza że sensacyjne kradzieże mnożyły się ostatnio w sposób zastraszający.

Świadczyło to o powstaniu jakiejś nowej szajki, nowego „gangu”, żeby użyć słowa tak ulubionego przez prasę.

— Wciąż jeszcze nie ma żadnych poszlak?

— Żadnych.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą. Jeśli nawet Maigret nie miał jeszcze wyraźnych poszlak, to miał jednak swoją własną teorię, którą fakty zdawały się potwierdzać. Ale jego metody pracy nie powinny obchodzić nikogo, a już najmniej prokuraturę.

— Niech sędzia śledczy weźmie tę sprawę w swoje ręce. Jeśli mogę radzić, Cajou, to niech pan pilnuje, żeby nie nadawać jej rozgłosu. To banalny wypadek, może morderstwo na tle rabunkowym, może porachunki osobiste w środowisku mętów społecznych, a jeśli szumowiny zaczną się zabijać między sobą, to, słowo daję, społeczeństwo tylko dobrze na tym wyjdzie. Pan mnie rozumie?

Z kolei zwrócił się do Fumela:

— Pan jest inspektorem w szesnastce?

Fumel kiwnął głową.

— Od ilu lat pracuje pan w policji?

— Od trzydziestu... Od dwudziestu dziewięciu dokładnie...

— Ma dobrą opinię? — zapytał Maigreta.

— To człowiek, który zna swój zawód. Wicprokurator stanął na uboczu z sędzią śledczym i rozmawiał z nim chwilę niższym głosem. Gdy wrócił, Cajou robił wrażenie zakłopotanego. Wicprokurator starał się nadać głosowi swobodne brzmienie.

— A więc, panie komisarzu, dziękuję panu i przepraszam, że się pan fatygował. Pozostanę w kontakcie z inspektorem Fumelem, któremu będę przekazywał dalsze instrukcje. Gdyby w jakimś momencie sędzia śledczy potrzebował pomocy, prześlę panu odpowiednie zlecenia albo wezwę pana do siebie. Pan ma przed sobą zbyt poważne i zbyt pilne zadania, żebym miał pana teraz dłużej zatrzymywać.

Maigret zbierał już nie tylko z zimna, a fajkę, którą trzymał w zębach, ścisnął tak mocno, że aż dał się słyszeć lekki trzask hebanowego drzewa.

— Jak pan się dostanie do domu?

— Taksówkę znajdę przy Porte Dauphine.

Wicprokurator zawahał się, jakby zamierzał mu zaproponować, że go odwiezie, ale Maigret już się oddalał, machając ręką Fumelowi.

A przecież gdyby mu dano pół godziny czasu, komisarz Maigret mógłby powiedzieć im niejedno na temat zabitego. W pierwszej chwili nie miał jeszcze pewności i dlatego nic nie mówił.

Od momentu kiedy nachylił się nad zwłokami, nie mógł pozbyć się wrażenia, że tego człowieka już gdzieś widział. Mimo iż twarz przypominała miazgę, komisarz dałby głowę, że wie, kto to jest.

Do całkowitej pewności brakowało mu tylko drobnego dowodu, który by się ujawnił, gdyby denata rozebrano.

Co prawda, można by dojść do ustalenia tożsamości zabitego po skontrolowaniu odcisków daktyloskopijnych.

Na postoju znalazł tę samą taksówkę, która go tu przywiozła.

— Już po wszystkim?

— Wracam do domu. Bulwar Richard–Lenoir.

Na Place de la Republique był już otwarty jakiś mały bar i Maigret omal nie zatrzymał taksówki, taką miał ochotę napić się czegoś pokrzepiającego. Nie zrobił tego jednak, było mu jakoś wstyd.

Żona położyła się z powrotem do łóżka i zasnęła, tak że nie słyszała, kiedy wrócił. Zbudziła się, zdziwiona.

— Już? — Po chwili zapytała, z niepokojem: — Co się stało?

— Nic. Ci panowie mnie nie potrzebują.

Rzadko kiedy rozmawiał z żoną o tym, co się działo na Quai des Orfèvres.

— Jadłeś coś?

— Nie.

— Zaraz przygotuję ci śniadanie. Powinieneś szybko wziąć gorącą kąpiel, żeby się rozgrzać.

Nie było mu zimno. Złość ustąpiła miejsca zniechęceniu.

Nie on jeden to odczuwał. Sam dyrektor biura policji kryminalnej już dwa razy chciał podać się do dymisji. Nie wspominał o tym po raz trzeci, wiedział, że nie ma go kto zastąpić.

Reorganizacja, jak mówiono. Młodzi ludzie, wykształceni, z najlepszych rodzin, studiowali pilnie każde zagadnienie w ciszy swoich gabinetów, żeby tą drogą dojść do rezultatów. Z tego mędrkowania, z tych uczonych dywagacji powstawały zadziwiające projekty, które przeradzały się co tydzień w nowe przepisy.

A nowe regulaminy mówiły — niemal wyraźnie — iż rola policji ma być inna, niż była dotychczas. Policja ma być narzędziem dla aparatu wymiaru sprawiedliwości. Ma spełniać rolę służebną, nie koncepcyjną. Ma być organem wykonawczym, a nie głową.

Sędzia śledczy nie wychodząc ze swego gabinetu, prokurator siedząc za biurkiem ma prowadzić śledztwo, wydawać rozkazy. Domagać się raportów z ich wykonania. Magicy!...

A na domiar złego wolą wydawać rozkazy tym swoim nowym ludziom — nie tym wypróbowanym, doświadczonym, którzy zęby na tej robocie zjedli, lecz tym, do których mają większe zaufanie.

Na co potrzebni im, nie wytykającym nosa znad swoich papierków, tacy ludzie, dla których uniwersytetem była ulica, którzy wiedzą dobrze, co się dzieje na dworcach kolejowych, w wielkich domach towarowych, którzy znają każdą knajpkę i każdą kafejkę w swojej dzielnicy, którzy są za pan brat z dziewczynami ulicznymi, którzy wiedzą wszystko o „kawalerach księżycowych”, którzy umieją — gdyby zaszła potrzeba — pogadać z nimi w ich własnym złodziejskim żargonie? Co z tego, że niektórzy ze starej gwardii, jak na przykład Arystydes Fumel, są na bakier z ortografią? Czy to najważniejsze? Nie, najważniejsze są dyplomy, na każdym szczeblu kariery — a przecież gdyby chodziło o zdobycie mieszkania na rozmowę w cztery oczy z którymś z podejrzanych, Maigret wiedział, że w podobnych sprawach może liczyć tylko na swoją dawną ekipę.

Nie, nie usuwają go jeszcze. Na razie. Są cierpliwi. Wiedzą przecież, że jeszcze dwa lata, a będzie musiał przejść na emeryturę. Jednakże — nie ulega kwestii! — patrzą mu na palce. Obserwują ukradkiem. Niechby się pomyli!...

Maigret, siedząc przy śniadaniu, widział przez okno, jak w domach naprzeciwko zapalają się jedno po drugim światła. Czuł się nieco odrętwiały, jak to zwykle bywa, gdy człowiek jest niewyspany, gwałtownie zbudzony wśród nocy.



— Fumel... To ten zezowaty?

— Tak.

— Od którego żona uciekła?

— Tak.

— I on jej wciąż jeszcze nie odszukał?

— Podobno wyszła za mąż, mieszka w Ameryce Południowej i ma całą kupę dzieci.

— On wie o tym?

— A po co ma wiedzieć?

Przyszedłszy do biura wcześniej niż zwykle, Maigret zaśwycił lampę z zielonym abażurem, choć był już biały dzień. Sięgnął po słuchawkę.

— Proszę połączyć mnie z szesnastym komisariatem policji. Halo! Jest inspektor Fumel? Zajęty?... Pisze raport?

Wciąż te papierki, formularze, szpargały... I na co to komu? Tylko strata czasu!

Po chwili zgłosił się telefonicznie Fumel. Rozmowę prowadził tak samo jak w nocy, przyciszonym głosem, jakby się bał, że ktoś go usłyszy.

— To ja, szefie.

— Ci z Wydziału Ustalania Tożsamości już skończyli?

— Tak. Wyszli przed godziną.

— Lekarz sądowy był?

— Tak. Ten nowy.

Lekarz sądowy także był „nowy”. Stary doktor Paul, który mając lat siedemdziesiąt sześć sam jeszcze przeprowadzał sekcje zwłok, zmarł niedawno i jego miejsce zajął doktor Lamalle.

— Co stwierdził?

— To samo co tamten lekarz w nocy. Facet został zabity gdzie indziej. Nie ulega wątpliwości, że musiał silnie krwawić. Ostatnie ciosy, które zmasakrowały mu twarz, były zadane już po jego śmierci.

— Ściągnięto z niego ubranie?

— Częściowo.

— Nie zauważyłeś tatuażu na prawej ręce?

— Skąd pan to wie, panie komisarzu?

— Ryba?... Coś w rodzaju konika morskiego?

— Tak...

— Odciski palców?

— Teraz właśnie sprawdzają w kartotece.

— Ciało przewieziono do prosektorium?

— Tak... Było mi bardzo przykro, panie komisarzu, wczoraj w nocy... I teraz także... Ale nie miałem odwagi...

— Możesz już teraz napisać w swoim raporcie, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ofiara zbrodni nazywa się Honoré Cuendet, urodzony w kantonie Vaud, w Szwajcarii, pięć lat służył w Legii Cudzoziemskiej.

— To nazwisko coś mi przypomina... Może pan komisarz zna jego adres?

— Nie. Ale wiem, gdzie mieszka jego matka, o ile jeszcze żyje. Wolalbym porozmawiać z nią sam. I wcześniej, przed innymi.

— Oni się o tym dowiedzą.

— Nic mnie to nie obchodzi. Zanotuj adres, ale nie wstępuj do niej, dopóki ja cię nie zawiadomię. Ulica Mouffetard. Numeru nie pamiętam. Mieszka na pięterku nad piekarnią, prawie na samym rogu ulicy Saint-Medard.

— Dziękuję panu.

— Nie ma za co. Zostajesz tam?

— Muszę pisać ten przekłety raport. To mi zajmie parę godzin.

A więc Maigret nie mylił się! Sprawilo mu to satysfakcję, nawet pewną radość, jednakże zaprawioną szczyptą melancholii.

Wprost ze swego gabinetu udał się na dół, do kartoteki, w której pracowali ludzie w szarych kitlach.

— Kto zajmuje się odciskami palców denata z Lasku Bulońskiego?

— Ja, panie komisarzu.

— Znalazłeś?

— Przed chwilą.

— Cuendet?

— Tak.

— Dziękuję.

Ożywiony, niemal uszczęśliwiony, Maigret po przejściu wewnętrznych korytarzy znalazł się w gmachu Pałacu Sprawiedliwości.

W Wydziale Ustaleń Tożsamości zastał swego starego przyjaciela Moersa, zagłębionego — jego także to nie ominęło! — w jakichś papierkach. Nigdy dotychczas nie nagromadzono takiej ilości papierów, jak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. I dawniej także trzeba było, rzecz prosta, wykonywać robotę typu administracyjnego, lecz ostatnio, jak to Maigret wyliczył, papierki zajmowały policji, w każdym wydziale, osiemdziesiąt procent czasu.

— Przyniesiono ci jego odzież?

— Tego gościa z Lasku Bulońskiego?

— Tak.

Moers wskazał na swoich współpracowników, którzy właśnie wytrząsali zawartość z dwóch dużych worków papierowych: odzież zamordowanego. Wedle szablonowej, zrutynizowanej metody od tego właśnie rozpoczynano operacje techniczne. Chodziło przede wszystkim o zebranie wszelkiego rodzaju pyłków i poddanie ich analizie, co często dawało bardzo cenne wskazówki — na przykład czym się zajmował, jaki zawód miał denat, gdzie przebywał najczęściej, a nawet mogło to naprowadzić na ślad, gdzie, w jakim miejscu zbrodnia została dokonana.

— W kieszeniach?...

— Nie było nic. Ani zegarka, ani portfela, ani kluczy. Nawet chusteczki do nosa. Absolutnie nic.

— Może jakieś znaki na bieliźnie, metki na ubraniu?

— Nie były ani oderwane, ani odprute. Zanotowałem nazwisko krawca. Potrzebne panu, panie komisarzu?

— Chwilowo nie. Ten człowiek już został zidentyfikowany.

— Kto to taki?

— Mój stary znajomy. Niejaki Cuendet.

— Przystępca?

— Człowiek spokojny, nawet bardzo, najspokojniejszy ze wszystkich znanych mi włamywaczy.

— Myśli pan, że to jakiś koleżka tak go urządził?

— Cuendet nie miał żadnych współników. Nigdy.

— Dlaczego go wykończyli? I kto?

— Tego właśnie i ja chciałbym się dowiedzieć.

Tutaj także, jak ostatnio w większości biur w Paryżu, pracowano przy sztucznym świetle. Niebo miało kolor ołowiu, a jezdnia wyglądała jak pokryta taflą czarnego szkła. Na chodnikach ludzie poruszali się szybko, trzymając się ścian domów; z ust ich wydobywały się obłoczki pary.

Maigret wrócił do swoich inspektorów. Dwaj z nich byli zajęci rozmową telefoniczną. Kilku innych pisaniną. Oni także!

— Nic nowego, Lucas?

— W dalszym ciągu nie ustają poszukiwania Fernanda. Ktoś widział go podobno w Paryżu przed trzema tygodniami, ale nie jest to wiadomość najpewniejsza.

Fernand. Recydywista. Dziesięć lat temu tenże Fernand, którego nigdy nie zdołano właściwie zidentyfikować, był hersztem szajki, która w ciągu paru miesięcy dokonała kilkunastu zuchwałych napadów rabunkowych z bronią w ręku.

Ujęto całą bandę, proces ciągnął się prawie przez dwa lata. Gangsterzy zostali skazani na kilka lat więzienia, jeden z nich zmarł na gruźlicę, paru zwolniono na mocy amnestii, przedterminowo.

Maigret nie wspominał o tym wiceprokuratorowi, który był tak bardzo wzburzony „wzrostem przestępczości”. Miał swoją własną koncepcję. Pewne szczegóły dokonywanych ostatnio napadów rabunkowych pozwoliły mu sądzić, że maczali w tym palce członkowie dawnej szajki, utworzywszy zapewne jakąś nową bandę.

Wystarczyłoby zatrzymać jednego z nich. I nad tym pracowali ludzie komisarza Maigreta od trzech prawie miesięcy, cierpliwie szukając śladów.

Poszukiwania doprowadziły do skoncentrowania uwagi na osobie Fernanda. Wiadomo było, że jest na wolności, ale od sześciu miesięcy nie zdołano wpaść na jego trop.

— A jego żona?

— Przysięga, że nie widziała go od dłuższego czasu. Sąsiedzi potwierdzają jej zeznania. Nikt nie spotkał Fernanda nigdzie, a już na pewno nie w dzielnicy, w której mieszkał.

— Pracujcie, pracujcie, moi drodzy... Gdyby ktoś pytał o mnie... Gdyby na przykład był telefon z prokuratury...

Maigret namyślał się chwilę.

— ...Powiedźcie, że zszedłem na dół, do piwiarni. Powiedźcie zresztą, co chcecie. Byle co.

Musi być teraz sam. Chce spokojnie pomyśleć. I niech nikt nie przeszkadza mu zająć się sprawą człowieka, którego znał od trzydziestu lat i z którym był nieomal zaprzyjaźniony.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rzadko kiedy komisarz Maigret mówił z kimkolwiek o swoich sprawach zawodowych, jeszcze rzadziej wypowiadał się na temat ludzi i instytucji, w których piastowali oni jakieś stanowiska. Nie wierzył w koncepcje naginane siłą do rzeczywistości, gdyż wiedział z doświadczenia, że żadna sprawa nie układa się tak gładko, żeby od razu tworzyła spójną całość wiążącą poszlaki z podejrzeniami.

Jedynie w obecności swego przyjaciela, doktora Pardon z ulicy Popincourt, po wspólnym obiedzie wydusił z siebie parę słów, które mogłyby w ostateczności uchodzić za jakieś zwierzenie.

Przed kilkoma tygodniami do tego stopnia pozwolił się wciągnąć w rozmowę, że dał upust swemu rozgoryczeniu:

— Ci ludzie wyobrażają sobie, że my jesteśmy po to tylko, aby chwycić przestępców i wyciągać od nich wyznanie winy. Jest to jedno z najbardziej fałszywych powszechnych przekonań, z którymi człowiek tak się oswaja, że ani myśli je podważać. A w rzeczywistości nasza rola sprowadza się do tego, żeby chronić — przede wszystkim — państwo, potem rząd, bez względu na to, jaki jest, dobro publiczne, zwłaszcza istniejące instytucje, dopiero na samym końcu życie poszczególnych obywateli...

Czy zadałeś sobie kiedy trud przejrzenia „Kodeksu karnego”? Trzeba dojść aż do stronicy sto siedemdziesiątej siódmej, żeby znaleźć paragrafy dotyczące przestępstw przeciwko osobom prywatnym. Kiedyś, kiedy będę już na emeryturze, dokonam dokładnego podsumowania tych tekstów. Można powiedzieć tak na oko, że trzy czwarte, jeśli nie cztery piąte kodeksu poświęcone jest sprawom ruchomości i nieruchomości, fałszywych pieniędzy, fałszerstw dokumentów o charakterze publicznym lub prywatnym, wyłudzeniu spadków i tak dalej... Słowem, tym wszystkim sprawom, które odnoszą się do pieniędzy... Aż do paragrafu dwieście siedemdziesiąt cztery, mówiącego o „żebractwie w miejscach publicznych”, który poprzedza paragraf dwieście dziewięćdziesiąt pięć — dotyczący zabójstwa umyślnego.

Obiad był doskonały, a wino saint-emilion, o niezapomnianym bukecie, po prostu znakomite.

— W gazetach piszą przede wszystkim o Policji Kryminalnej, według terminologii tradycyjnej, dlatego że jej działalność dostarcza najwięcej materiału sensacyjnego. A w rzeczywistości dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych mamy mniejsze znaczenie niż na przykład Wydział Informacji Ogólnej lub Dział Finansowy.

Spełniamy po trosze taką samą rolę, jak obrońcy w stosunku do ławy przysięgłych. Stanowimy tylko fasadę, a prawdziwą, poważną robotę wykonują za kulisami cywiliści.

Czy Maigret wypowiadałby się w podobnym duchu dwadzieścia lat temu? Czy choćby przed sześcioma miesiącami, zanim nastąpiły te wszystkie zmiany organizacyjne, których był świadkiem?

I teraz także mruczał do siebie pod nosem, idąc z podniesionym kołnierzem płaszcza przez most Saint-Michel, na którym silny północny wiatr wiejący od Sekwany zmuszał przechodniów do pochylania się w jedną stronę i pod tym samym kątem.

Często zdarzało mu się mówić do siebie bezwiednie, jakby gderał czy zrzędził, aż pewnego razu podsłuchał, jak Lucas wyjaśniał Janvierowi, który wówczas dopiero co podjął pracę w jego brygadzie:

— Nie trzeba na to zwracać uwagi. Kiedy coś w myśli przeżywa, ma taką minę, jakby był w złym humorze, a wcale tak nie jest. Po prostu takie ma przyzwyczajenie.

Nie, komisarz Maigret wcale nie był w złym humorze. Nie czuł się nieszczęśliwy. Coś go jednak stale nurtowało. Teraz na przykład zgniewało go zachowanie się wobec niego

wiceprokuratora w Lasku Bulońskim. Przejął się bezsensowną śmiercią Cuendeta, któremu zmasakrowano twarz, gdy już nie żył.

„Powiedźcie, że zszedłem na dół do kawiarni...”

Jedynie, co naprawdę interesuje tych panów na wysokich stanowiskach, to napady rabunkowe. Chcą za wszelką i cenę położyć im kres, bo przecież ofiarą grabieży padają banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i kasy oszczędnościowe; ponoszą więc znaczne straty materialne. Kradzieże samochodów także ostatnio często się powtarzają. Zbyt często ich zdaniem.

A czy kasjerzy nie powinni być lepiej zabezpieczani? — rozmyślał Maigret. — Czy to dobrze, że powierza się przenoszenie wielkich, milionowych sum jednemu człowiekowi, najwyżej dwóm kursującym stale po tej samej trasie, dostępnej praktycznie dla każdego? No tak, ale wszelkie inne sposoby pociągają za sobą koszty. A jeśli chodzi o samochody — czy powinno się je zostawiać na skraju chodnika, często z nie zamkniętymi drzwiczkami, a czasami nawet z kluczykiem w stacyjce? Przecież samochód dużo kosztuje, czasem wart jest tyle co średniej wielkości apartament w mieście lub willa za miastem!

Jakże często właściciele sami nie pilnują należycie cennych przedmiotów stojących się łatwym łupem złodzieja!

A portfel z dużą sumą pieniędzy? A kolia brylantowa?

Kradzieże tego typu właściwie nie powinny obchodzić komisarza Maigreta. To nie jego resort. A w ogóle, jeśli policja ma być tylko — narzędziem...

Mimo tych nie pozbawionych gorczy rozmyślań Maigret postanowił nie zwlekając udać się na ulicę Mouffetard.

Dzień był mroźny, lecz w tej dzielnicy panował taki sam ruch jak zawsze; handel na straganach, w kramikach i w jatkach był bardzo ożywiony.

O dwa domy od ulicy Saint Medard znajdowała się piekarnia, a nad nią niskie okna półpiętra. Dom był stary, wąski, z fasadą pomalowaną na żółto. Z głębi podwórka dobiegał huk młota bijącego o kowadło.

Maigret wspinał się po schodach, opatrzonych sznurem zamiast poręczy, i po chwili zapukał do drzwi. Wewnątrz rozległy się ciche kroki.

— To ty? — dał się słyszeć głos i jednocześnie szcęknęła zasuwa.

Ta stara kobieta jeszcze bardziej przez ten czas przytyła, głównie od pasa w dół. Ramiona miała nawet dość wąskie, twarz pociągłą, biodra natomiast szerokie, rozrośnięte do tego stopnia, że chodzenie musiało sprawiać jej trudność.

Zaskoczona, rzuciła na wchodzącego Maigreta pełne niepokoju spojrzenie, które dobrze znał, charakterystyczne dla ludzi, którzy żyją w ciągłym strachu.

— Znamy się, prawda?... Pan tu już przychodził... Chwileczkę...

— Komisarz Maigret — mruknął, wchodząc do pokoju. Było tu bardzo ciepło i pachniało czymś smakowitym: chyba dusiło się jakieś mięso, może z jarzynami. Gulasz? Potrawka?

— Tak, tak, poznaję... Przypominam sobie... Co pan ma do niego... tym razem?

W jej głosie nie było wrogości, wyczuwało się raczej rezygnację, fatalistyczne poddanie się losowi.

Podsunęła mu krzesło. Na fotelu, obciągniętym wytartą skórą, jedynym w tym pokoju, leżał mały piesek o rudej sierści. Szczerzył ostre ząbki i warczał głucho, a siedzący na oknie kot, biały w kawowe cętki, ledwo raczył otworzyć zielone ślepie.

— Leżeć, Toto!...

Po chwili wyjaśniła:

— Lubi warczeć, ale nie jest zły... To piesek mojego syna... Wydaje mi się, nie wiem sama dlaczego, że on robi się do mnie podobny...

Rzeczywiście, pies miał nieduży łeb, spiczasty pyszczek, cienkie nóżki, ale tułów tak opasły, że przypominał tuczonego wieprzka. Musiał być już bardzo stary. Zęby miał żółte, rzadko rozstawione.

— Jakieś piętnaście lat temu Honoré przyniósł go z ulicy; miał dwie łapki złamane, pewno samochód go potrafił... Sporządził mu łubki z dwóch deseczek i w kilka miesięcy potem to biedne psisko — chociaż sąsiedzi radzili, żeby je uspić od razu — zaczęło chodzić normalnie...

Pokój był niski, dość ciemny, ale uderzający czystością. Służył jednocześnie jako kuchnia i jadalnia, z okrągłym stołem pośrodku, ze starym kredensem pod ścianą i z holenderską kuchenką, taką jakich już teraz nie spotyka się prawie nigdzie.

Cuendet kupił zapewne tę kuchenkę na pchlim targu albo u handlarza starzyzną i sam ją odnowił; lubił majsterkować. Płyta była rozpalona do czerwoności, a w lśniącym miedzianym rondlu perkotało *ragout*, sądząc po zapachu chyba baranie.

Z ulicy dobiegał gwar i hałas i Maigret przypomniał sobie, że podczas swej ostatniej wizyty zastał starą siedzącą przy oknie, z łokciami na parapecie: widocznie latem spędzała tak czas aż do zmierzchu, wpatrując się w ruchliwy tłum przy ulicy Mouffetard.

— Słucham pana, panie komisarzu.

Zachowała przeciągły akcent swego rodzinnego kraju. Nie siadła naprzeciwko niego, tylko stała, tak jakby w defensywie.

— Kiedy widziała pani syna ostatnio?

— Proszę mi wpiery powiedzieć: znów jest aresztowany?

Po sekundzie wahania Maigret odpowiedział — nie skłamał zresztą:

— Nie.

— A więc znaczy, że go poszukujecie. Wobec tego powiem od razu: jego tu nie ma. Może pan przeprowadzić rewizję w całym mieszkaniu, kiedyś już pan to robił. Zobacz pan, że nic się nie zmieniło, chociaż to już minęło dziesięć lat...

Wskazała przez otwarte drzwi na mały salonik, z którego zapewne nie korzystano nigdy, zagracony nikomu nie potrzebnymi bibelotami, serwetkami, licznymi fotografiami w ramkach — jak to często bywa w drobnomieszczańskich mieszkaniach, w którym jeden pokój musi być od święta, na pokaz.

Komisarz pamiętał: w dwóch pokojach okna wychodziły na podwórko, jeden z nich, z żelaznym łóżkiem pośrodku, należał do tej starej, drugi, nie mniej skromnie urządzone, może tylko nieco wygodniejszy, do jej syna.

Z piekarni na parterze dolatywał zapach gorącego chleba i mieszał się ze smakowitą wonią baraniego *ragout*.

— Nie poszukuję go, madame Cuendet — rzekł Maigret z powagą i z pewnym wzruszeniem w głosie. — Chciałbym tylko wiedzieć...

Zrozumiała w oka mgnieniu, raczej może wyczuła; w jej oczach błysnął strach.

— Jeżeli pan go nie poszukuje i jeżeli pan go nie aresztował, to znaczy...

Włosy miała rzadkie na głowie śmiesznie wąskiej.

— Stało się z nim... coś złego... Tak?!

Maigret spuścił głowę w milczeniu.

— Woląłem zawiadomić panią osobiście.

— Wypadek?

— Nie... Ja...

— A więc co?

— Pani syn nie żyje, madame Cuendet.

Patrzyła na niego twardo, bez jednej łzy w oku, a rudawy piesek, tak jakby zrozumiał, że coś się stało, zeskoczył z fotela i przybiegł do niej, ocierając się o jej grube nogi.

— Kto to zrobił?

Słowa te wydarły się ze świstem spomiędzy jej zębów, rozstawionych szeroko tak jak u jej warczącego pieska.

— Nie wiem. Został zamordowany.

— Gdzie? Kiedy?

— Śledztwo wykaże.

— Zamordowany?

— Znalaziono go martwego, dziś nad ranem, w Lasku Bulońskim.

Powtórzyła nieufnie, jakby wciąż jeszcze bała się jakiejś zasadzki.

— W Lasku Bulońskim? A co on robił w Lasku Bulońskim? W nocy?

— Tam właśnie znaleziono ciało. Został zabity, a potem przetransportowany na to miejsce samochodem.

— Dlaczego to zrobili?

Maigret był cierpliwy, nie chciał jej przynaglać, miał dużo czasu.

— Właśnie to pytanie stawiamy sobie i my.

W jaki sposób zdołałby na przykład wyjaśnić sędziemu śledczemu Cajou, co go łączyło z Cuendetem? Znał go przecież, widywał nie tylko w swoim gabinecie przy Quai des Orfèvres. A po to, żeby go poznać bliżej, nie wystarczyło samo śledztwo.

Trzeba było trzydziestu lat pracy w tym zawodzie i kilku wizyt u niego w domu oraz skrzętnej obserwacji tego człowieka, żeby dociec prawdy o nim.

— Właśnie w tym celu, żeby jak najwcześniej wykryć sprawcę zbrodni, potrzebne mi są pewne informacje. Dlatego pytam panią raz jeszcze: kiedy widziała go pani ostatnio?

— Muszę sobie przypomnieć...

— Nie nocował w domu, prawda? Od ilu dni?

— Jest pełnoletni, może robić, co mu się podoba... wolno mu chyba, nie?

Nagle oczy jej napełniły się łzami. Zapytała przygnębiona:

— Gdzie on jest... teraz? Może mi pan powiedzieć?

— Zobacz go pani później. Nasz inspektor przyjdzie po panią.

— W kostnicy?

— Nie. W prosektorium.

— Cierpiał?

— Nie.

— Strzelano do niego?

Łzy spływały już teraz jedna za drugą po jej policzkach, ale wciąż jeszcze nie szlochała. Patrzyła na Maigreta ze wzrastającą nieufnością.

— Nie. Został uderzony.

— Czym?

Usiłowała wyobrazić sobie sytuację, w jakiej znalazł się jej syn w tragicznej chwili.

— Nie wiadomo. Czymś ciężkim.

Bezwiednie przesunęła dłonią po głowie i na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

— Dlaczego? — powtórzyła. — Dlaczego to zrobili?

— Dowiemy się, zapewniam panią, madame. Właśnie po to, żeby móc wykryć winnych, tutaj jestem i do tego celu potrzebna mi jest pani pomoc. Niechże pani siada.

— Nie mogę.

Kolana jej drżały.

— Ma pani kieliszek koniaku?

— Chciałby się pan napić?

— Nie ja. Radziłbym pani.

Pamiętał dobrze, że nigdy nie stroniła od butelki. I tym razem bez trudu znalazła w kredensie butelkę nie koniaku wprawdzie, lecz karafkę z białą czystą wódką.

Nawet w takiej chwili jak ta wolała widocznie ukryć prawdę.

— Trzymałam to dla syna... Lubił czasem napić się przed obiadem...

Nalała wódkę do dwóch kieliszków z wypukłym dnem.

— Nie mogę zrozumieć — zaczęła po chwili — dlaczego go zabili... Przecież nie zrobił nigdy nikomu nic złego... Muchy by nie skrzywdził... Dobry, łagodny, spokojny... takich jak on rzadko się spotyka... Prawda, Toto? Ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jaki był dla ciebie dobry!

Nie tłumiąc już łez głąskała tłustego pieska, który nie przestawał merdać ogonem. Taką scenę pan sędzia śledczy Cajou na pewno uznałby za groteskową...

Przecież ten jej syn, którego tak wychwalała pod niebiosa, był notorycznym kryminalistą i gdyby nie jego niezwykła zręczność, czyż jeszcze teraz nie siedziałby w więzieniu?

Był dwukrotnie aresztowany i następnie postawiony w stan oskarżenia — za każdym razem przez komisarza Maigreta.

Godziny całe spędzili, w cztery oczy, na Quai des Orfèvres, usiłując się nawzajem przechytryć, przy czym każdy z nich umiał należycie ocenić inteligencję drugiego.

— Od jakiego czasu...?

Maigret nie wychodził z roli, nie tracił cierpliwości; zadawał pytania głosem obojętnym, spokojnym zwłaszcza na tle hałasów dobiegających z ulicy.

— Chyba już miesiąc — poddała się w końcu.

— Nic pani nie mówił?

— Nie mówił mi nigdy nic o tym, co robi poza domem.

Tak było rzeczywiście, Maigret w swoim czasie miał na to dowody.

— I ani razu nie przyszedł pani odwiedzić w ciągu tego miesiąca?

— Nie. A w zeszłym tygodniu były moje urodziny. Przysłał mi kwiaty.

— Skąd je przysłał?

— Przyniósł posłaniec z kwiaciarni.

— Z jakiej kwiaciarni? Nie było na opakowaniu adresu?

— Może i był. Nie zauważyłam.

— A tego posłańca nie znała pani? Może to był ktoś z sąsiedztwa?

— Nie widziałam go nigdy na oczy. Przeprowadzać rewizji w pokoju Honoré Cuendeta Maigret nie mógł. Nie przyszedł tu w charakterze oficjalnym. Prowadzenie śledztwa powierzono komu innemu, nie jemu. Wkrótce przyjedzie inspektor Fumel, uzbrojony w przewidziane regulaminem nakazy podpisane przez sędziego śledczego Cajou. Ale i on także nie znajdzie tu pewno nic obciążającego. Poprzednim razem Maigret również nie znalazł nic oprócz wiszących w szafie kilku garniturów, bielizny ułożonej starannie na półce i jakichś narzędzi do majsterkowania, które na pewno nie były narzędziami włamywacza.

— Czy dawniej także zdarzało mu się znikać na dłuższy czas?

Starła się przypomnieć sobie. Nie bardzo była usposobiona do rozmowy i musiała czynić wysiłki, żeby odpowiadać przytomnie na pytania.

— Spędził w domu całą zimę.

— A gdzie był latem?

— Tego nie wiem.

— Nie proponował pani wspólnego wyjazdu na odpoczynek, gdzieś nad morze albo na wieś?

— Nie pojechałabym i tak. Tyle czasu mieszkałam na wsi, że wcale nie chciałabym tam wracać.

Miała chyba z pięćdziesiąt lat, a może i więcej, gdy po raz pierwszy przyjechała do Paryża, a jedynym miastem, jakie znała przedtem, była Lozanna.

Pochodziła z Senarclens, małej wioski w Szwajcarii, w kantonie Vaud, w pobliżu miasteczka Cossonay, gdzie jej mąż, Gilles, pracował jako robotnik rolny.



Maigret przejeżdżał kiedyś podczas wakacji razem z żoną przez Szwajcarię i pamiętał, że na każdym kroku znajdowały się tam hoteliki, oberże czy zajazdy.

I właśnie te liczne oberże — ciche i schludne — stały się zgubą dla Gillesa Cuendeta. Mały człowieczek o krzywych nogach, milczący z natury, mógł przesiadywać całymi godzinami w kącie sali, popijając szklankami białe wino.

Z robotnika rolnego stał się łowcą kretów i wędrował od fermy do fermy, stawiając pułapki, przy czym mówiono, że śmierdział tak samo jak te zwierzaki, które łapał.

Mieli dwoje dzieci, syna Honoré i córkę Laurę, która pracując jako kelnerka w restauracji w Genewie zdołała rozkochać w sobie jednego z pracowników UNESCO, tłumacza kabinowego. O ile Maigret pamiętał, wyszła za niego za mąż i razem z nim wyjechała do Ameryki Południowej.

— Ma pani wiadomości od córki?

— Dostałam życzenia na Nowy Rok. Ona ma już pięcioro dzieci. Mogę panu pokazać kartę.

Poszła do sąsiedniego pokoju, nie tyle po to, żeby go przekonać, że mówi prawdę, ile po to, żeby się ruszyć z miejsca.

— Proszę! Kolorowa...

Widokówka przedstawiała port Rio de Janeiro podczas zachodu słońca w barwach lilafioletowych.

— I nic więcej nie pisze o sobie?

— A po co? Dzieli nas ocean, czy w ogóle zobaczymy się jeszcze kiedy? Ona ma swoje własne życie.

Honoré miał także swoje własne życie, tylko że inne. Gdy skończył piętnaście lat, wysłano go do Lozanny, gdzie terminował u ślusarza.

Był chłopcem spokojnym i milkliwym, równie małomównym jak ojciec. Mieszkał na poddaszu w starym domu, w pobliżu bazaru, i dopiero na skutek jakiegoś anonimowego donosu pewnego ranka do jego pokoju wkroczyła policja.

W owym czasie Honoré miał niecałe siedemnaście lat. Znaleziono u niego najrozmaitsze dość dziwaczne przedmioty, których pochodzenia nie umiał wyjaśnić: budziki, puszkki z konserwami, ubranka dziecięce nawet z nie oderwanymi etykietkami, dwa czy trzy radioodbiorniki, jeszcze nie wyjęte z oryginalnego opakowania.

Policja przypuszczała początkowo, że przedmioty te pochodzą z kradzieży w czasie transportu, że zostały ściągnięte z ciężarówki na postojach.

Śledztwo obaliło to przypuszczenie. Młodzieńcy Cuendet zakradał się do magazynów, składów i pustych mieszkań i brał stamtąd na chybił-trafił wszystko, co mu akurat wpadło pod rękę.

Ze względu na młody wiek wysłano go do domu poprawczego w Vannes pod Lozanną, gdzie spośród rozmaitych rzemiosł, jakich mógł się nauczyć, wybrał zawód kotlarza.

Przez cały rok był pensjonariuszem wzorowym i spokojnym, łagodnym i pracowitym, nie naruszającym nigdy obowiązującego regulaminu.

Nagle zniknął bez śladu i nie można go było odnaleźć. Minęło dziesięć lat, zanim Maigret zetknął się z nim w Paryżu.

Po opuszczeniu Szwajcarii — do której miał już nigdy nie wrócić — wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, gdzie spędził pięć lat w Sidi-bel-Abbes i w Indochinach.

Komisarz Maigret miał sposobność zapoznania się z jego aktami i porozmawiania z jego przełożonymi.

Przez jakiś czas Honoré Cuendet był żołnierzem bez skazy. Jedyne, co mu zarzucano, to że jest odludkiem trzymał się stale na uboczu, nie miał żadnego przyjaciela i nie mieszał się nigdy do niczego, nawet gdy na jego oczach odbywały się bójki.

— Żołnierzem był tak, jak inni są monterami czy szewcami — charakteryzował go porucznik. — Traktował to jako swój zawód.

Przez całe trzy lata nie zasłużył na karę czy nawet upomnienie. Po czym — bez żadnego powodu — zdezerterował.

Odnaleziono go w Algierze, w jakiejś pracowni grawerskiej, gdzie dopiero co się zaangażował.

Odmawiał jakichkolwiek wyjaśnień na temat, co go skłoniło do podjęcia tak nieoczekiwanego kroku, który mógł go przecież drogo kosztować, wyjął tylko:

— Nie mogłem dłużej wytrzymać.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

Mając na względzie trzy lata nienagannej służby, potraktowano go z pewną pobłażliwością, ale w pół roku później zrobił to samo; tym razem przyłapano go już po dwudziestu czterech godzinach w ciężarówce rozwożącej warzywa, gdzie zdołał się ukryć.

Gdy był w Legii Cudzoziemskiej, wytatuowano mu na prawej ręce — na jego własne żądanie — konika morskiego. Dlaczego właśnie taki, a nie inny tatuaz? — próbował dociec Maigret.

Legioniści mają na ogół upodobanie do rysunków wywołujących bardziej pikantne skojarzenia niż morskie stworzenia...

Miał lat dwadzieścia sześć, kiedy stanął przed Maigretem: niewysoki, barczysty, rudawy blondyn.

— Widzieliście kiedy konika morskiego?

— Żywego nigdy.

— A martwego?

— Widziałem.

— Gdzie?

— W Lozannie.

— W jakich okolicznościach?

— W pokoju pewnej dziewczyny.

Trzeba było wyciągać z niego słowo po słowie.

— Co to była za dziewczyna?

— Chodziłem do niej.

— Przed poprawczakiem w Vannes?

— Tak.

— Jak ją poznaliście?

— Zaczepiłem na ulicy.

— I u niej w pokoju widzieliście zasuszonego konika morskiego?

— Tak. Powiedziała, że to jej maskotka.

— Znaliście jakieś inne dziewczyny wcześniej?

— Mało.

Maigret domyślił się od razu, że ona była właśnie tą pierwszą.

— Co robiliście po wyjściu z Legii, w Paryżu?

— Pracowałem.

— Gdzie?

— U ślusarza.

— Jaki adres?

— Rue de la Roquette.

Policja sprawdziła. Zgadzało się. Pracował dwa lata, ku powszechnemu zadowoleniu. Śmieli się z niego, że nie jest rozmowny, ale uważali go za wzorowego pracownika.

— Co robiliście wieczorem, po pracy?

- Nic.
- Chodziliście do kina?
- Prawie nigdy.
- Mielicie znajomych, przyjaciół?
- Nie.
- Przyjaciółki?
- Także nie.

Można by przypuścić, że kobiety budziły w nim lęk. A jednak ta pierwsza — wówczas, kiedy miał szesnaście lat — wywarła na nim takie wrażenie, że na jej cześć kazał sobie wytatuować na ręce konika morskiego!

Śledztwo przeprowadzono drobiazgowo. W owych czasach można było jeszcze sobie pozwolić na dopieszczenie szczegółów. Maigret był wtedy dopiero inspektorem policji, a miał o trzy lata więcej niż Cuendet.

Zaczęło się podobnie jak w Lozannie, z tą różnicą, że tym razem nie wpłynął do policji żaden anonim.

Pewnej nocy, o czwartej nad ranem (a więc o tej samej porze, kiedy znaleziono zwłoki w Lasku Bulońskim), policjant mundurowy zaczepił młodego mężczyznę niosącego pokaźną paczkę. Był to czysty przypadek. Zagadnięty rzucił się do ucieczki.

W paczce znaleziono skórki futrzane, a Cuendet odmówił wyjaśnień, skąd się u niego wziął ten dziwny towar.

- Dokąd pan z tym szedł?
- Sam nie wiem.
- Skąd pan to ma? Proszę powiedzieć! — Nie mam nic do powiedzenia.

Ustalono, że skórki pochodziły od kuśnierza z ulicy Francs-Bourgeois.

Cuendet mieszkał wówczas przy ulicy Saint-Antoine, o sto metrów od Bastylli, i w jego pokoju znaleziono — podobnie jak to było w Lozannie — cały asortyment najróżnorodniejszych towarów.

- Komu sprzedawaliście te łupy?
- Nikomu.

Brzmiało to nieprawdopodobnie — a jednak nie udało się ustalić żadnych związków pomiędzy małomównym Szwajcarem a którymś ze znanych paserów.

Przypadek ten zaintrygował Maigreta do tego stopnia, że wymógł na swoim ówczesnym zwierzchniku, komisarzu Guillaume, żeby aresztowanego zbadał lekarz. Orzeczenie brzmiało: „Typ na pewno aspołeczny. Inteligencja wyższa od przeciętnej. Reakcje uczuciowe normalne”.

Cuendet miał szczęście: bronił go z urzędu młody adwokat, mecenas Gambier, który po jakimś czasie miał stać się jednym z filarów palestry francuskiej — otrzymał więc karę niewielką.

Najpierw osadzono go w więzieniu Sante, później przeniesiono do Fresnes, gdzie spędził rok; i tu także sprawował się bez zarzutu — w nagrodę skrócono mu karę o kilka miesięcy.

W czasie kiedy Cuendet siedział w więzieniu, zginął w wypadku jego ojciec. Pewnej soboty wracał wieczorem do domu, pijany do nieprzytomności, na nie oświetlonym motorze, i z tyłu najechał na niego samochód.

Honoré sprowadził do Paryża matkę; kobieta, która dotychczas nie wytknęła nosa poza spokojną wioskę szwajcarską Senarclens, znalazła się nagle w samym środku gwarnej, zgiełkliwej rojowiska ulicy Mouffetard.

Czy i ona także nie była fenomenem w swoim rodzaju? Wielkie miasto powinno budzić w niej lęk, przytłaczać swoim ogromem, a ona tak świetnie dawała sobie radę i tak się wkrótce zadomowiła w swojej dzielnicy, że stała się osobą bardzo popularną.

Na imię miała Justyna i teraz na całej ulicy Mouffetard, od krańca do krańca, wszyscy znali starą Justynę o chytrych oczkach i przeciągłej, śpiewnej mowie.

To, że jej syn siedział w „kiciu”, bynajmniej jej nie krępowało.

— Każdemu jego los sądzony — mówiła sentencjonalnie.

Dwukrotnie jeszcze komisarz Maigret miał okazję zajmować się osobą Honoré Cuendeta: za drugim razem w związku z wielką kradzieżą kosztowności przy ulicy de la Pompe, w dzielnicy Passy.

Dokonano włamania do luksusowo urządzonego mieszkania państwa D., w którym oprócz gospodarzy mieszkało troje służby. Biżuteria leżała na toalecie w buduarze przylegającym do sypialni państwa D. Drzwi do buduaru zostały na całą noc otwarte.

Ani pan, ani pani D. nic nie słyszeli. Pokojówka, która sypiała w swoim pokoiku na tym samym piętrze, zapewniała, że drzwi frontowe zamknęła na klucz i że zastała je zamknięte, gdy przyszła rano. Żadnego śladu włamania. Żadnych odcisków palców.

Apartament państwa D. znajdował się na trzecim piętrze i nie miał balkonu, nie mogło być więc mowy o tym, żeby ktoś wdrapał się od zewnątrz i dostał do buduaru na przykład przez sąsiednie mieszkanie.

Była to piąta czy szósta kradzież tego typu w ciągu trzech lat; gazety rozpisywały się na ten temat, nazywając sprawcę „włamywaczem-widmem”.

Maigret poznał doskonale tę wiosną całą ulicę de la Pompe. Chodził sam o różnych porach dnia, od mieszkania do mieszkania, i przepytывał skrupulatnie nie tylko konsjerżki, ale i lokatorów tych kamienic, i sprzedawców w pobliskich sklepach, i służbę.

I wtedy właśnie, dzięki przypadkowi czy raczej dzięki własnej wytrwałości i uporowi, natknął się na Cuendeta.

W domu naprzeciwko kamienicy, w której dokonano kradzieży kosztowności, pokój na piątym piętrze, z oknami wychodzącymi na ulicę, wynajął niedawno jakiś pan.

— Bardzo grzeczny, bardzo spokojny lokator — wydała o nim opinię konsjerżka. — Rzadko kiedy wychodzi, nigdy wieczorem, kobiet nie przyjmuje. W ogóle nikt do niego nie przychodzi.

— Sam sprząta? Sam gotuje?

— No, pewno! Ale ręczę, że u niego jest bardzo czysto.

Czyżby Cuendet był tak bardzo pewny siebie, że po dokonaniu kradzieży nie zadał sobie trudu przeprowadzenia się gdzie indziej? Czy może na odwrót — bał się ściągnąć na siebie podejrzenia, gdyby nagle opuścił swoje mieszkanko?

Maigret zastał go w domu. Cuendet siedział i czytał jakąś książkę. Przez okno widać było dokładnie, co się dzieje w mieszkaniach po drugiej stronie ulicy.

— Pan pozwoli ze mną.

Cuendet nie protestował. Nie bronił się, gdy przeprowadzano rewizję w jego pokoiku. Nie znaleziono u niego nic, absolutnie nic: żadnego klejnotu, żadnego wytrycha, żadnej liny ani drabinki, słowem, żadnego przyrządu do wspinania się.

Przesłuchanie na Quai des Orfèvres trwało prawie dwadzieścia cztery godziny, z krótkimi przerwami na zjedzenie bułki i wypicie piwa.

— Dlaczego wynajęliście ten pokój?

— Bo mi się spodobał.

— Pokłóciliście się z matką?Ł

— Nie.

— Nie mieszkacie już razem z nią?

— Wróć tam któregoś dnia.

— Zostawiliście u niej swoje rzeczy?

— Rozumie się.

— Byliście u matki ostatnio?

— Nie.

— Kto was widywał w tym domu?

— KONSJERŻKA, sąsiedzi, czy ja wiem kto jeszcze.

Nieco dziwny akcent wymowy nadawał jego odpowiedziom odcień ironii — może mimowolnej, gdyż wyraz jego twarzy, poważny i spokojny, zdawał się mówić, że robi wszystko, co może, żeby zadowolić pana komisarza.

Przesłuchanie nie dało żadnych rezultatów, lecz rewizja, przeprowadzona na ulicy Mouffetard, dostarczyła materiału obciążającego. Okazało się, że Honoré nie po raz pierwszy zniknął na okres od trzech tygodni do dwóch miesięcy, po czym wracał i znów mieszkał przez dłuższy czas razem z matką.

— Z czego się utrzymujecie?

— Umiem robić to i owo.

— Ale nigdzie nie pracujecie?

— Mam trochę odłożonych pieniędzy.

— W banku?

— Nie mam zaufania do banków.

— Gdzie są te pieniądze?

Milczał. Od czasu swego pierwszego aresztowania przestudiował „Kodeks karny” i niektóre paragrafy znał na pamięć.

— To nie ja mam dowieść, że jestem niewinny. To mnie trzeba udowodnić, że jestem winien.

Tym razem Maigret zirytował się, chociaż na widok miny Cuendeta, wyrażającej łagodną dezaprobatę, natychmiast tego pożałował.

— Pozbyliście się tych kosztowności w jakiś sposób. Prawdopodobnie sprzedaliście je komuś. Komu?

Uprzednio zainteresowano się bardziej znanymi paserami, zaalarmowano Antwerpię, Amsterdam, Londyn. Szepnięto słówko zaufanym informatorom. Ale nikt nie znał Cuendeta. Nikt nie widział go na oczy. Nikt nie utrzymywał z nim stosunków.

— A co, nie mówiłam? — triumfowała jego matka. — Wiem, że z was dobre cwaniaki, ale mój syn też ma główkę nie od parady..., hoho!

Mimo poszlak, mimo iż nazwisko Cuendeta figurowało w rejestrze sądownie karanych, trzeba było zwolnić go z braku dowodów winy.

Nie triumfował, tak jak jego matka. Ani na chwilę nie stracił wrodzonej mu flegmy. Wychodząc z gabinetu Maigreta zatrzymał się w drzwiach, poszukał oczyma kapelusza i po krótkim wahaniu wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Do widzenia, panie komisarzu.

Tak jakby wiedział, że zobaczą się wkrótce znowu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Krzesła, z siedzeniami z wyplatanej słomy, połyskiwały odcieniem matowego złota. Podłoga ze zwykłych sosnowych desek, bardzo stara, była tak wywoskowana i wyfroterowana, że odbijał się w niej jak w lustrze prostokąt okna. Miedziane wahadło zegara ściennego poruszało się miarowym rytmem.

Wydawało się, że każdy przedmiot w tym pokoju: pogrzebacz, wazony, szczotka do zamiatania, o którą ocierał się kot, żyje swoim własnym życiem, jak na obrazach dawnych mistrzów holenderskich.

Stara kobieta otworzyła drzwiczki pieca i wrzuciła dwie szufle węgla; buchnął płomień oświetlając na chwilę jej twarz.

— Pozwoli pani, że zdejmę płaszcz?

— To znaczy, pan na dłużej?

— To znaczy, że na dworze jest parę stopni poniżej zera, a u pani jest dość ciepło.

— Starzy ludzie to zmarzluchy — mruknęła raczej do siebie niż do niego. — Lubię, jak jest dobrze napalone w piecu. Mój syn także lubił ciepło, nawet kiedy był mały. Pamiętam, że u nas w domu, w Senarclens, zawsze siedział przy piecu, kiedy odrabiał lekcje.

Rzuciła okiem na fotel obity wytartą skórą.

— I tutaj także przysuwał fotel do pieca. Mógł tak siedzieć godzinami i czytać... zapominając o bożym świecie.

— A co on czytał?

— Czy ja wiem? — odpowiedziała rozkładając ręce. — Skąd ja mogę wiedzieć? Chodził po książki do czytelnicy, na ulicę Monge. Przeczytał jedną, oddawał, brał drugą. O, ta jeszcze leży.”

Wskazała oprawną w czarne, lśniące płótno książkę. Była to monografia jednego z epizodów Rewolucji Francuskiej, napisana przez Lenotre’a.

— Bardzo dużo wiedział ten mój Honoré. Nigdy wiele nie mówił, ale za to ile miał w głowie... hoho! Gazety czytał co dzień, cztery, pięć dziennie, i takie grube magazyny ilustrowane, bardzo drogie, z kolorowymi obrazkami...

Maigret lubił takie mieszkania, które mają własny charakterystyczny zapach dobrze utrzymanej siedziby ludzkiej. Miał ochotę zapalić fajkę i już ją zaczął machinalnie nabijać, ale zawahał się.

— Maże pan zapalić. On także palił fajkę. Miał całą kolekcję starych fajek, a jak się któraś popsuka, tak długo przy niej majstrował, aż ją sam zreperował.

— Chciałbym zadać pani pewne pytanie, madame Cuendet.

— Dlaczego pan zwraca się do mnie tak oficjalnie? Wszyscy nazywają mnie po prostu Justyną. I to już od jak dawna! Zdaje mi się, że ostatni raz „madame Cuendet nazwał mnie mer, który dawał nam ślub. Proszę, niech pan pyta. Odpowiem, jeśli będę mogła.

— Pani nie pracuje?

— Nigdy nie pracowałam. Nawet za życia męża.

— A mąż pani miał jakiś majątek?

— Widział pan kiedy bogatego kretołowa? Szczególnie takiego, co chleje od rana do nocy?!

— A więc utrzymuje się pani z tego, co dawał pani syn?

— Co w tym złego?

— Robotnik oddaje wypłatę żonie lub matce w każdą sobotę, urzędnik swoją pensję każdego pierwszego. A Honoré — czy dawał pani pieniądze regularnie, czy też co jakiś czas, w miarę pani potrzeb?

Patrzyła na niego ze skupieniem, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z wagi tego pytania.

— Różnie... a bo co?

— Mógł pani na przykład wręczyć jakąś większą sumę od razu, żeby starczyło na czas jego nieobecności. Ale po powrocie...

— Nigdy nie dawał mi żadnych większych sum. Co ja bym z tym robiła?

— Na jak długo panią opuszczał? Co najmniej na kilka tygodni, prawda? A co pani robiła przez ten czas nie mając pieniędzy?

— Mnie tam dużo nie trzeba.

— A więc jak pani dawała sobie radę, nie mając środków na utrzymanie?

— Zawsze mogę wziąć to, co mi potrzebne, na kredyt w sklepiku, u rzeźnika — ba! — każdy straganiarz mi zawierzy. Kto nie zna w tej dzielnicy starej Justyny?

— A może syn pani przysyłał pieniądze przekazem pocztowym?

— Przekazem pocztowym? Nigdy!

— Niechże pani posłucha, madame Cuendet...

— Mówiłam już, żeby pan nazywał mnie Justyną. Stała przy kuchence, dołała wody do bulgocącego na ogniu rondelka, przykryła go pokrywką, pozostawiając wąską szparkę dla ulatniającej się pary.

— Naprawdę nie chciałbym sprawić pani przykrości, a pani syn przecież... już teraz... proszę zrozumieć: chodzi mi tylko o to, żeby odnaleźć tych, którzy go zabili. I pani może mi w tym pomóc.

— Będę mogła go zobaczyć?

— Tak.

— Kiedy?

— Jeszcze dziś po południu. Nasz inspektor przyjedzie po panią.

— Wydadzą mi ciało?

— Chyba tak. Ale niech pani nie zmienia tematu. Muszę zadać pani parę pytań.

— Czego jeszcze chce się pan ode mnie dowiedzieć?

Wciąż była nieufna — jak to zwykle chłopki; stara kobieta, prawie analfabetka, we wszystkim wietrzyła zasadzkę. Ta jej podejrzliwość była przeszkodą nie do pokonania.

— Syn opuszczał panią parę razy do roku i nie pokazywał się przez kilka tygodni... Jak długo to trwało?

— Już mówiłam. Czasem trzy tygodnie, a czasem dwa miesiące.

— Jak zachowywał się po powrocie?

— Tak jak każdy, zadowolony, że znajdzie swoje ranne pantofle pod piecem.

— Czy zawiadamiał panią, że wyjeżdża, czy też znikał bez uprzedzenia?

— A kto pakował mu walizkę, jak nie ja?

— Mówił więc pani, że wyjeżdża. Co zabierał ze sobą? Bieliznę na zmianę? Ubranie?

— Brał to, co było mu potrzebne.

— Miał dużo garniturów?

— Cztery czy pięć. Lubił się elegancko ubierać.

— Nie miała pani wrażenia, że po powrocie coś chowa u pani w mieszkaniu?

— Gdzie by tu coś schował w takim małym mieszkanku! Zresztą przeprowadzaliście tu rewizję, i to nie jeden raz. Dobrze pamiętam, jak to wasi ludzie wścibiali nos wszędzie, gdzie tylko mogli, nawet kredens odsuwali, do piwnicy schodzili, chociaż piwnica należy do wszystkich lokatorów, w każdy kąt włązili i przecież nic nie znaleźli!

Była to prawda. Nie znaleźli nic.

— Syn pani nie posiada konta bankowego ani książeczki oszczędnościowej. Należy więc przypuszczać, że odkładał pieniądze gdzie indziej. Nie przypomina pani sobie: może mówił, że wyjeżdża za granicę — do Belgii, na przykład, do Szwajcarii, do Hiszpanii?

- W Szwajcarii od razu by go aresztowali.
- Racja.
- Nie, nigdy nie wspominał o żadnym wyjeździe za granicę.

W ciągu paru ostatnich lat fotografia Honoré Cuendeta figurowała wśród zdjęć tych osób, które należy mieć na oku przy przejściach granicznych i nawet na dworcach kolejowych.

Maigret zastanawiał się w duchu: musiał przecież gdzieś sprzedawać kosztowności i inne zrabowane przedmioty. Nie kontaktował się z zawodowymi paserami. A ponieważ wydawał na siebie niewiele, na pewno ma gdzieś odłożone pieniądze. I to większe sumy. Ba! Ale gdzie?

A na głos powiedział do Justyny:

— Skoro syn dawał pani pieniądze na życie nieregularnie, od czasu do czasu, co by pani zrobiła, gdyby przestał w ogóle dawać?

Wzdrygnęła się mimo woli i w oczach jej odmalował się niepokój.

— Nie bałam się tego nigdy — odpowiedziała nie bez dumy. — Honoré to dobry syn!

Nie powiedziała tym razem: „był dobrym synem”. I dokończyła tak, jakby jeszcze żył:

— Jestem pewna, że on nie zostawi mnie bez niczego. W jej głosie brzmiało głębokie przekonanie. Maigret podjął po chwili półgłosem, jakby do siebie:

— Kto go zabił? Przecież nie żaden przygodny włóczęga, na pewno nie. I nie żaden koleżka, przez zemstę. Wspólników nie miał nigdy. Co się w tym kryje? Przecież to nie jest jakaś płaska, pospolita zbrodnia...

Stara nie pytała, skąd on to wie, a on sam jej nie wyjaśniał. Włóczęga nie miałby powodu masakrować zwłok, a już na pewno nie miałby po co znęcać się ze szczególną zawziętością nad twarzą czy opróżniać doszczętnie kieszeni, tak żeby nie został żaden drobiazg, jak na przykład fajka czy zapalniczka, mogący ułatwić identyfikację.

Nie zamordował go nikt ze świata przestępczego; ktoś taki by wiedział, że Cuendet siedział w kryminale, a więc że bez trudu odnaleziono by jego odciski daktyloskopijne w kartotece sądownie karanych.

— Ten, kto go zabił, nie znał go przedtem. A jednak miał jakieś powody, żeby go wykończyć. Rozumie pani?

— A co ‘ja tu mam rozumieć?

— To, że kiedy będziemy wiedzieli, jaki skok planował Honoré, na jaki dom, na czyje mieszkanie, łatwiej nam będzie natrafić na ślad mordercy.

— Nie przywróci to życia mojemu synowi.

— Pozwoli mi pani rzucić okiem na jego pokój?

— Nie mogę panu zabronić.

— Wolałbym, żeby pani mi towarzyszyła.

Gdy szła za nim, poruszały się jej wąskie ramiona i kołysały monstrualnie szerokie biodra. Rudy piesek, powarkując, dreptał za nimi.

W pokoju Honorégo, z wychodzącym na podwórko oknem, przez które przenikało słabe światło, panował mrok jak w kaplicy. Świeciła tylko bielą pikowana kapa, pokrywająca żelazne łóżko.

Maigret otworzył drzwi szafy z lustrem: trzy ubrania, dwa szare, jedno granatowe, wisiały porządnie na wieszakach, na dole stały ustawione rzędem buciki, a na półce leżały koszule, z wiązką suszonej lawendy na wierzchu.

Na etażerze książki: „Kodeks karny” w czerwonej oprawie, mocno sfatygowany, kupiony zapewne u któregoś z bukinistów nad Sekwaną lub na bulwarze Saint-Michel. Jakieś powieści z końca dziewiętnastego wieku, tom Zoli, tom Tolstoja Plan Paryża, który na pewno był często w użyciu...

W kącie na półce o dwóch kondygnacjach stopy magazynów ilustrowanych. Na ich widok komisarz mimo woli zmarszczył brwi. Dziwnie nie pasowały do reszty umeblowania. Były to



grube, drogie czasopisma, drukowane na kredowym papierze, z kolorowymi zdjęciami najpiękniejszych zamków we Francji i najbardziej luksusowych wnętrz.

Maigret przekartkował kilka z nich w nadziei, że znajdzie jakieś notatki lub choćby tylko miejsca zakreślone ołówkiem. Może to byłaby jakaś wskazówka...

Mieszkając w Lozannie na facjacie młody Cuendet, będący wówczas uczniem ślusarskim, przywłaszczał sobie wszystko, co wpadło mu pod rękę, bezwartościowe przedmioty również.

Później, gdy przeniósł się do Paryża i zamieszkał przy ulicy Saint-Antoine, stał się bardziej wybredny — ale jeszcze wtedy gdy zakradał się do małych sklepików lub do skromnych mieszkań w swojej dzielnicy, robił to na chybił trafił, bez wcześniejszego rozeznania.

Ostatnio osiągnął wyższy etap; jeśli planował skok, to już na inną skalę — na apartamenty bogaczy, tam gdzie można znaleźć i dużą gotówkę, i cenną biżuterię.

Matka mimo woli naprowadziła komisarza Maigreta na pewien trop. Wspomniała, że jej syn czytał cztery czy pięć gazet dziennie.

Maigret był pewien, że Honoré nie szukał w dziennikach nowin politycznych ani też nie zagłębiał się w rubrykę wypadków, lecz wylądował wiadomości z kroniki towarzyskiej: o tym, co się dzieje w eleganckim świecie. Wczytywał się w opisy przyjęć, ślubów i innych tym podobnych uroczystości.

Czyż w tych wzmiankach nie wyliczano z zachwytem rodzaju i ilości klejnotów, jakie miały na sobie kobiety światowe?

Magazyny ilustrowane, które Maigret w tej chwili wertował, z pewnością przynosiły Cuendetowi informacje jeszcze dla niego ważniejsze: nie tylko podawały szczegółowo rozkład pokoiów w prywatnych pałacach, lecz nawet zamieszczały barwne fotografie, jak są urządzone.

A więc siedząc w kąciku i grzejąc się przy piecu, Honoré medytował, rozważał „za” i „przeciw”, dokonywał w myśli wyboru.

Później udawał się na wędrowkę po upatrzonej dzielnicy, wynajmował pokój w hotelu albo, jeśli mu się udawało znaleźć coś odpowiedniego, samodzielnie kawalerkę, tak jak to było przy ulicy de la Pompę.

Podczas ostatniego śledztwa przeprowadzonego przed kilkoma laty wykryto, iż przesiadywał w różnych kawiarniach i knajpkach, a w niektórych bywał stałym gościem. Mówiono o nim: „Człowiek bardzo spokojny, godzinami siedział gdzieś w kącie, nad szklaneczką białego wina, czytał gazety, gapił się na ulicę...”

A w rzeczywistości obserwował pilnie, kto i kiedy wychodzi i wraca do domu, zarówno państwo, jak i służba, zapamiętywał ich zwyczaje i rozkład zajęć, i potem, z okna swojego pokoju, śledził, co robią, gdy są już w domu.

Po jakimś czasie, dzięki tym obserwacjom, kamienica z przeciwka nie miała przed nim tajemnic.

— Dziękuję pani, madame Cuendet!

— Justyno!...

— Przepraszam, pani Justyno... Miałem wiele...

Urwał, szukając odpowiedniego słowa. „Sympatii” byłoby to może za wiele. „Intrygował mnie” — nie, takie sformułowanie nie byłoby dla niej zrozumiałe...

— ...uznania dla pani syna.

To słowo także nie było właściwe, ale przecież ani wice-prokurator, ani sędzia śledczy nie usłyszą go z jego ust.

— Przyjdzie tu do pani za chwilę inspektor Fumel. Jeśli pani będzie czegokolwiek potrzebowała, proszę zwrócić się wprost do mnie.

— Nie będę potrzebowała niczego.

— Gdyby pani dowiedziała się przypadkiem, w jakiej dzielnicy Paryża Honoré spędził ostatnie tygodnie swego życia...

— Wątpię — wzruszyła ramionami.

Maigret pożegnał się z Justyną Cuendet i zaczął ostrożnie schodzić po wydeptanych stopniach schodów.

Po chwili ogarnął go przejmujący chłód i hałaśliwy gwar ulicy. W powietrzu wisiał jakby biały pył, ale śnieg nie padał, nie widać było śladów na chodnikach.

Ledwo wszedł do pokoju inspektorów, Lucas zaanonsował:

— Telefonował do pana Moers.

— Kiedy?

— Przed półgodziną.

— Nie mówił, w jakiej sprawie?

— Prosił, żeby pan do niego zadzwonił.

— Żadnych wiadomości na temat Fernanda?

Maigret nie zapomniał, że jego najważniejszym zadaniem było wykrycie sprawców zbrojnego napadu rabunkowego. Poszukiwania mogły trwać tygodniami, jeśli nie miesiącami! Setki policjantów i zandarmów miało fotografię bujającego obecnie na wolności Fernanda. Inspektorzy chodzili od drzwi do drzwi mieszkań, jak domokrażcy reklamujący odkurzacze elektryczne, i pytali, pokazując jego fotografie, czy kto nie zna tego człowieka.

Brygada śledcza zajmowała się hotelami i pensjonatami, „obyczajówka” przepytывała prostytutki. Na dworcach podróżni nieraz dostrzegali na sobie czujne oczy.

Nie, to nie Maigret prowadził śledztwo w sprawie Cuendeta. To przecież nie jego sprawa, nie jego zadanie. Ma zajmować się czymś innym. Nie wolno mu odrywać swoich ludzi od wypełniania ich obowiązków. Jak więc pogodzić własne, palące zainteresowanie z poczuciem niezbędnej w tych sprawach sumiennosci?

— Pójdiesz na górę — zwrócił się do Lucasa — i zażadasz ostatniego lub choćby niezbyt dawnego zdjęcia Cuendeta. Każesz sporządzić odbitki. Niech każdy z inspektorów poszukujących Fernanda, a zwłaszcza ci, którzy rozpracowują kawiarnie i hotele, ma przy sobie także i jego zdjęcie. I niech pyta, przy okazji, czy kto nie zna Cuendeta choćby z widzenia.

— Wszędzie? — zapytał Lucas. — We wszystkich dzielnicach?

Maigret zastanawiał się chwilę, w pierwszym momencie miał ochotę powiedzieć: „Nie, tylko w najbogatszych, nowoczesnych dzielnicach”, ale przypomniał sobie w porę, że i w starych dzielnicach często znajdują się prywatne pałacyki, a także luksusowe kamienice czynszowe.

Znalazłszy się w swoim gabinecie komisarz Maigret sięgnął po słuchawkę i połączył się z Moersem.

— Masz jakieś wyniki?

— Mam, ale nie wiem, czy się na coś przydadzą. Badając ubranie pod szkłem powiększającym, moi ludzie natrafili na trzy czy cztery włoski, które wzięli pod mikroskop. Ekspert Delage, a ten zna się na rzeczy, twierdzi, że to są włoski z sierści dzikiego kota. Inaczej mówiąc, żbika.

— Gdzie znajdowały się te włoski? Mów dokładnie.

— Na plecach denata, bliżej prawego rękawa. Były tan: także ślady pudru damskiego. Może później będziemy mogli ustalić nazwę firmy, ale to musi potrwać.

— Dziękuję. Fumel nie dzwonił?

— Niedawno wyszedł. Dałem mu pewne wskazówki. — A gdzie on jest teraz?

— Studiuje *dossier* Cuendeta.

Maigret czuł, że pieką go zaczerwienione powieki. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wyciągnięto go z łóżka o czwartej nad ranem.

A potem także miał mnóstwo roboty: trzeba było podpisywać jakieś papiery, wypełniać formularze, przyjmując kilka osób, które na niego czekały. Tego, co mówiły, słuchał z pewnym roztargnieniem.

Gdy został sam, połączył się telefonicznie ze znanym kuśnierzem z ulicy La Boetie i długo musiał nalegać, żeby poproszono go do aparatu.

— Mówi komisarz Maigret z Wydziału Śledczego. Przepraszam, że pana fatyguję, ale chciałbym poprosić o pewne informacje. Czy mógłby mi pan powiedzieć, ile jest obecnie w Paryżu płaszczy z futra dzikiego kota... ze żbika?

— Ze żbika?

To pytanie najprawdopodobniej wprawiło kuśnierza w zdumienie.

— Obecnie chyba nie ma żadnych. Były czasy — dawno, wówczas gdy dopiero zaczynały kursować po Paryżu pierwsze auta, kiedy nasza firma szła takie szuby dla panów, a dla pań lekkie narzutki futrzane...

Maigret przypomniał sobie stare fotografie automobilistów okutanych w futra, w których wyglądali jak niedźwiedzie.

— I właśnie ze żbika?

— Wiem, że niektóre skórki były bardzo starannie wyprawione. Dziś jeszcze takie futra są w chłodnym klimacie — na przykład w Kanadzie, w Szwecji, w Norwegii, czy w północnych stanach Ameryki.

— A w Paryżu już się takich futer nie nosi?

— Być może niektóre firmy sprzedają jeszcze, ale raczej rzadko. Zaraz, chwileczkę... — Przerwał, jakby nagle przyszła mu jakaś myśl do głowy. — Czy pan komisarz interesuje się tylko płaszcami futrzanymi?

— Dlaczego pan pyta?

— Dlatego, że bywają czasami zamówienia na takie lub podobne futra dla innych celów. Można robić z nich na przykład narzuty na tapczan albo ze skrawków futrzaki na podłogę czy burki do przykrywania nóg w samochodzie...

— I często bywają takie zamówienia?

— Po przejrzeniu naszych ksiąg mógłbym panu komisarzowi powiedzieć, ile ich było w ciągu ostatnich paru lat. Trzydzieści, czterdzieści sztuk, mówię z pamięci. To by dotyczyło naszej firmy. Ale są przecież i inni kuśnierze; ci fabrykują je seriami, oczywiście w nie najlepszym gatunku. Aha, jeszcze coś mi się przypomniało. Niedawno widziałem na wystawie apteki, niedaleko stąd, reklamę — jakoby futro dzikiego kota było skutecznym środkiem przeciwko reumatyzmowi...

— Dziękuję panu.

— Życzyłby pan sobie, panie komisarzu, żebym sporządził dla pana listę nabywców?

— Jeśli to nie będzie zbyt kłopotliwe...

Od kilku tygodni policja gorliwie poszukiwała Fernanda, nie mając wszakże pewności, czy rzeczywiście brał udział w ostatnich napadach rabunkowych. Wymagało to tyle samo żmudnej pracy, co — dla przykładu — opracowanie słownika encyklopedycznego.

Wiadomo było, co Fernand lubi, gdzie zwykle przebywa, znane były jego niektóre przyzwyczajenia. Do odnalezienia go mógłby przydać się nawet taki głupi szczegół, jak to, że pił tylko likier mandarin-curaçao, nigdy żadnych innych trunków. I to jednak byłoby już coś, jakiś konkretny trop. Natomiast w sprawie wykrycia morderców Cuendeta musiało wystarczyć kilka włosków z sierści dzikiego kota...

Ekspertyza ustaliła, że włoski te znalezione zostały na plecach marynarki denata, w pobliżu prawego rękawa. Gdyby pochodziły z płaszcza futrzanego — czyż nie znalazłyby się raczej na klapach?

Może to kobieta miała na sobie futro i otarła się o jego marynarkę?

Maigret wolał przyjąć hipotezę, że był to nie płaszcz, tylko futrzana burka do przykrywania nóg w samochodzie. A jeśli w samochodzie, to nie w żadnym małym, popularnym wozie, typu 4 cv, lecz w wielkim, luksusowym aucie, którego właściciel może pozwolić sobie na zakup futra do przykrywania nóg.

Ale czy w ciągu ostatnich lat Cuendet nie buszował wyłącznie po domach bogaczy? Należałoby właściwie obejść wszystkie garaże w Paryżu i wszędzie zadawać niezmiennie to samo pytanie: w którym samochodzie znajdowała się burka z futra dzikiego kota zwanego żbikiem służąca do przykrywania nóg?

Zadanie prawie niewykonalne...

Do drzwi gabinetu Maigreta zapukał inspektor Fumel. Był bardzo zmęczony, powieki miał obrzmiałe i zaczerwienione. Spał nawet krócej niż Maigret. Po nocnym dyżurze jeszcze się nie kładł spać.

— Nie przeszkadzam?

— Siadaj.

Istniało paru takich inspektorów, którym komisarz Maigret mówił „ty” — byli to jego najstarsi współpracownicy, rozpoczynali pracę jednocześnie z nim i w owym czasie wszyscy byli ze sobą po imieniu, ale odkąd Maigret awansował, zwracali się do niego per „panie komisarzu” albo „szefie”.

— Przeczytałem jego akta — rzekł Fumel. — I sam nie wiem, od którego końca do tego się zabrać. Ze dwudziestu ludzi by nie wystarczyło do takiej sprawy. Z protokołów z sesji sądowych wiem, że pan znał go osobiście, szefie.

— Znałem go dobrze. Dziś rano byłem u jego matki, na pół oficjalnie. Zakomunikowałem jej tę smutną wiadomość i powiedziałem, że ty przyjedziesz po nią i zabierzesz ją do prosektorium. Masz już wyniki sekcji?

— Jeszcze nie. Telefonowałem do doktora Lamalle. Kazał mi powiedzieć przez swego asystenta, że dziś wieczorem lub jutro rano przyśle raport do sędziego śledczego.

(Doktor Paul, w swoim czasie, nie czekał, aż do niego zatelefonują. Sam dzwonił do Maigreta i gderał: „A co ja tam będę gadał z sędzią śledczym!”)

Co prawda, dawniej tylko policja prowadziła śledztwo, a organa sądowe zajmowały się, w większości przypadków, tylko tymi sprawami, w których podejrzany sam przyznawał się do winy.

Obecnie istniały trzy etapy postępowania przy ściganiu przestępców: śledztwo, które przeprowadzała policja kryminalna — w Paryżu, przy Quai des Orfèvres; dochodzenie sądowe, i dopiero później, po zapoznaniu się z aktami, sąd przystępował do sporządzania aktu oskarżenia i sprawa przechodziła pod obrady ławy przysięgłych.

— Moers wspominał ci o tych włoskach z sierści żbika?

— Czyli z dzikiego kota? Tak, mówił mi.

— Przed chwilą rozmawiałem telefonicznie z kuśnierzem. Byłoby dobrze, gdybyś zebrał informacje o futrzanych burkach na nogi do samochodu — ile ich ostatnio sprzedano w Paryżu. A przepytując właścicieli garaży...

— Nie mam nikogo do pomocy.

— Wiem, stary.

— Wysiałem już pierwszy raport. Sędzia Cajou wzywa mnie na dziś, na godzinę piątą po południu. Fatalnie się dla mnie składa. Miałem służbę wczoraj w nocy, powinienem więc dziś mieć wolny dzień. Umówiłem się z kimś; jeśli zatelefonuję i powiem, że jestem służbowo zajęty, ten ktoś nie uwierzy i zaczną się takie komplikacje, że nie będę mógł dać sobie rady...

— Ów „ktoś” była to kobieta, oczywiście!

— Jeśli dowiem się czegoś jeszcze, zadzwonię do ciebie. Ale nie mów sędziemu Cajou, że interesuję się tą sprawą.

— Rozumiem!

Maigret wrócił na drugie śniadanie do domu. W jego mieszkaniu było nie mniej czysto, a posadzki tak samo lśniące i wyfroterowane jak u starej Cuendet.

I tu także było bardzo ciepło, i był piec kaflowy, niezależnie od kaloryferów, gdyż Maigret lubił piece i wymógł na administracji domu, żeby zostawiono mu piec w jego pokoju.

Z kuchni dolatywały apetyczne zapachy. A jednak Maigret poczuł nagle, że czegoś mu brak — sam nie wiedział czego.

W mieszkaniu matki Honoré Cuendeta panowała atmosfera jeszcze większego spokoju i przytulności, być może dzięki kontrastowi z hałasem i gwarem ulicznym. Z okna, tak blisko jakby ręką sięgnąć, widać było kramiki i stragany i słysząc głosy sprzedawców zachwalających swoje towary.

Tamto mieszkanko było mniejsze i niższe, i jakoś bardziej ścieśnione. Stara kobieta spędzała w nim całe życie, od rana do wieczora. Sama jedna. Tylko pies i kot dotrzymywały jej towarzystwa. Gdy nie było syna, pewno nie mogła sobie znaleźć miejsca. Może i on także powinien kupić sobie psa lub kota?

Co za głupi pomysł! Nie jest przecież ani starą babą, ani ślusarczykiem, a ci dwoje przyjechali z głuchej wsi szwajcarskiej do stolicy i wynajęli sobie mieszkanie na jednej z najbardziej hałaśliwych ulic Paryża.

— O czym tak myślisz? — zapytała nagle pani Maigret.

Uśmiechnął się.

— O psie.

— Masz zamiar kupić psa?

— Nie. Zresztą to nie byłoby to samo... Tamten piesek został znaleziony na ulicy, z połamanymi łapkami...

— Odpoczniesz, zdrzemniesz się trochę?

— Nie mam na to czasu, niestety!

— Nie wiadomo właściwie, czy ty jesteś ze” swojej pracy zadowolony, czy nie...

Uderzyła go trafność tej obserwacji. Śmierć Cuendeta zmartwiła go szczerze. Miał żal osobisty do jego morderców, tak jakby ten Szwajcar był jego przyjacielem, kolegą czy co najmniej starym znajomym.

Miał im również za złe to, że zmasakrowali ciało i rzucili jak martwe zwierzę w Lasku Bulońskim na ziemię skutą lodem, gdzie zwłoki musiały zeszywnieć na kamień.

Jednocześnie nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy sobie uświadomił, jaki tryb życia prowadził Cuendet i jakim ulegał maniom. Starał się go zrozumieć — i sądził, że mu się to udaje.

Oczywiście na początku swojej kariery, jeśli tak rzecz można, Honoré, podówczas tylko skromny uczeń u ślusarza, wprawiał się w swoje rzemiosło metodą zupełnie banalną, tak samo jak to robią złodziejaszki w ubogich dzielnicach: kradł bez wyboru wszystko to, co akurat nawinęło mu się pod rękę.

Nie sprzedawał nawet rzeczy zdobytych w ten sposób; gromadził je w swojej mansardzie, tak jak młody psiak gromadzi pod słomianką kości czy skórki chleba.

Po przyjeździe do Paryża, gdy mieszkał niedaleko Bastylli, udoskonalił swoją metodę i już wtedy zarysowała się wyraźnie droga, jaką obrał. Nie przystąpił do żadnej bandy. Nie miał kolegów ani przyjaciół. Pracował w pojedynkę.

Ślusarz, kotlarz, „złota rączka”, skrupulatny i dokładny w robocie, nauczył się zakradać do wielkich magazynów, do pracowni, do różnych składów.

Nie był nigdy uzbrojony. Nie miał żadnej broni palnej ani nawet noża.

Nigdy nie wywołał alarmu, nigdy nie pozostawił po sobie śladów. Był to człowiek cichy, milczący, zarówno w życiu codziennym, jak i przy pracy.

Czy utrzymywał jakieś stosunki z kobietami? Czy miał stałą przyjaciółkę? Nigdzie nie można było natrafić na podobny ślad. Mieszkał tylko ze swoją matką, a jeśli nawet miewał

jakieś przelotne miłostki, robił to dyskretnie, może w jakiejś odległej dzielnicy, gdzie nikt go nie znał i nikt nic o nim nie wiedział.

Potrafił całymi godzinami przesiadywać w kawiarni, przy oknie, nad szklanką białego wina. Potrafił również całymi dniami czatować przy oknie wynajętego przez siebie pokoju, jak przy ulicy Mouffetard, czytając książki i gazety, wygrzewając się jednocześnie przy piecu.

Nie miał żadnych prawie potrzeb osobistych. A przecież lista skradzionych przedmiotów, nie mówiąc już o innych kradzieżach, o które właśnie jego można by podejrzewać, była dość pokaźna i oznaczała fortunę.

Może prowadził drugie życie gdzieś poza Paryżem, może tam sprzedawał te rzeczy i wydawał otrzymane w ten sposób pieniądze?

— Myślę — Maigret wyjaśnił żonie — o jednym takim dość dziwnym gościu. Był to złodziej-włamywacz.

— Ten, co go zamordowano poprzedniej nocy?

— Skąd wiesz?

— Przeczytałam wzmiankę w gazecie.

— Pokaż.

— Tylko kilka linijek. Wpadłam na to przypadkiem. Maigret przeczytał:

### TRUP W LASKU BULOŃSKIM

Dziś w nocy, około trzeciej nad ranem, patrol rowerowy z dzielnicy XVI znalazł w jednej z alejek Lasku Bulońskiego zwłoki mężczyzny ze zmasakrowaną twarzą. Stwierdzono, iż denat nazywał się Honoré Cuendet, lat 59, pochodził z kantonu Vaud w Szwajcarii i był już kilkakrotnie karany sądownie. Zdaniem sędziego śledczego Cajou, który udał się na miejsce wypadku w asyście wiceprokuratora Kernavela oraz lekarza sądowego i który prowadzi śledztwo w tej sprawie, należałoby przypuszczać, iż chodzi o porachunki osobiste między opryszkami.

„Porachunki osobiste między opryszkami”... Takie sformułowanie może przyprawić o wściekłość! To znaczy, że według opinii tych panów z Pałacu Sprawiedliwości sprawa została już praktycznie pogrzebana. Jak to kiedyś powiedział prokurator: „Dobrze, niech się między sobą pozabijają. Będzie mniej roboty dla kata i więcej pożytku dla obywateli”.

— Coś ty mówił?

— Czy ja coś mówiłem? Ach, tak... Wyobraź sobie włamywacza, który wybiera umyślnie domy lub mieszkania nie puste...

— Co to znaczy: nie puste?

— Takie mieszkania, w których ktoś jest...

— Dlaczego?

— Posłuchaj. Co roku, a właściwie każdego lata przez kilka tygodni większość mieszkań w Paryżu stoi pusta, gdyż lokatorzy wyjeżdżają na wakacje: nad morze, w góry, za granicę lub do swoich posiadłości na wsi.

— Wiem, wtedy bywa najwięcej kradzieży.

— Ale robią to specjaliści, a taki nie odważy się nigdy włamać czy zakraść do mieszkania, w którym są ludzie...

— A ten twój... zachowywał się inaczej?

— A tak, ten mój, Cuendet, interesował się wyłącznie mieszkaniami, w których aktualnie przebywali lokatorzy. Czekał na przykład na moment, kiedy wrócą z teatru i kiedy pani domu położy swoją biżuterię w pokoju sąsiadującym z sypialnią, a czasem nawet i na toalecie obok łóżka...

Pani Maigret umiała rozumować logicznie:

— Przecież każda elegancka kobieta, jeśli wybiera się dokądś wieczorem, biżuterię ma na sobie, więc gdyby włamał się do mieszkania podczas jej nieobecności, nie znalazłby nic cennego.

— Ale mógłby znaleźć inne nie mniej wartościowe rzeczy, na przykład obrazy, nie mówiąc już o gotówce...

— Przypuszczasz więc, że ten człowiek cierpiał na jakąś obsesję? Że był niepoczytalny?

— Takie sformułowanie byłoby może za silne, ale podejrzewam, że był owładnięty jakąś manią, że doznawał szczególnej przyjemności zakradając się do domu pełnego ludzi. Pewnego razu ściągnął zegarek z nocnej szafki, gdy właściciel spał i nic nie słyszał. Żyłka hazardu — zakończył z uśmiechem.

Pani Maigret uśmiechnęła się również.

— Ile razy go przyłapałeś?

— Siedział tylko raz, ale to było wtedy, kiedy nie wypracował sobie jeszcze metody i kradł co popadło, tak jak inni złodzieje. Mamy u siebie w biurze cały spis kradzieży, których tylko on jeden mógł dokonać. Przygotowywał się do „skoku” długo, czasami wynajmował na kilka tygodni pokój po przeciwnej stronie ulicy i obserwował mieszkanie, które później okradał.

— Ale dlaczego go zamordowano? — zapytała pani Maigret.

— Właśnie to pytanie i ja sobie stawiam. Jedyne, co mogłoby mnie naprowadzić na jakiś trop, to gdyby udało mi się ustalić, jaki skok planował na tę właśnie noc...

Rzadko kiedy Maigret mówił żonie tak wiele o śledztwie, które właśnie było w toku, ale mógł to zrobić dlatego, że nie on je prowadził, i dlatego że sprawa była niezwykła. Honoré Cuendet fascynował go i jako typ człowieka, i jako specjalista w swojej „branży”; interesowali go oboje: i on, i stara Justyna, jego matka.

„Jestem pewna, że nie zostawi mnie bez niczego”... — powiedziała z dumą.

A przy tym Maigret był przekonany, że ona rzeczywiście nie wie, gdzie jej syn chował pieniądze.

Miała do niego zaufanie, wierzyła ślepo, że jej syn Honoré nie zostawi jej bez środków do życia!

Jaką drogą te pieniądze do niej dochodziły? Co przedsięwziął, żeby ją zabezpieczyć, zapewnić jej środki utrzymania, on, który nie miał ani przyjaciół, ani kolegów po fachu?

Chyba po prostu nie przewidział, że któregoś dnia padnie, ofiarą morderstwa... Czyż można przewidzieć wszelkie ewentualności?

Maigret popijał kawę małymi łydkami. Zapalił fajkę i mimo woli rzucił okiem na kredens. I tu także, podobnie jak przy ulicy Mouffetard, stała karafka z czymś mocniejszym... Tam była zwykła wódka, tutaj śliwowica.

Pani Maigret pochwyciła jego spojrzenie i szybko nalała mu kieliszek.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

O godzinie za pięć czwarta, kiedy Maigret siedział przy biurku pochylony nad stosem akt, upstrzonych różnymi adnotacjami, na które padał krąg łagodnego światła lampy, zadzwonił telefon. Dzwonili z centrali, z Pogotowia Policyjnego.

— Napad rabunkowy na ulicy La Fayette, między ulicami Taitbout i Chaussee d'Antin. Strzelanina. Są zabici.

Stało się to o godzinie za dziesięć czwarta, a już ogłoszono alarm Czekający w pogotowiu wóz z policjantami mundurowymi już wyjeżdżał sprzed Prefektury; jednocześnie prokurator, siedząc w swoim zacisznym gabinecie w Pałacu Sprawiedliwości, wydawał rozkazy i odbierał informacje o tym, co się dzieje na bieżąco.

Maigret otworzył drzwi do pokoju inspektorów, mruknął coś do Janviera, a w chwilę później obaj zbiegali po schodach i wkładając w pośpiechu palta wsiadali do radiowozu.

Z powodu żółtawej mgły, która opadła na miasto, było już tak ciemno, jak o ósmej wieczorem, a wzmagający się ziąb przenikał do szpiku kości.

— Dziś w nocy trzeba dobrze uważać — rzucił kierowca. — Z pewnością będzie gołoledź.

Jechali na sygnale, niebieskie światełko migotało na dachu. Taksówki i autobusy jeździły na skraj chodnika, a przechodnie wodzili oczyma za przejeżdżającym radiowozem.

Ruch uliczny w kierunku Opery uległ zakłóceniu. Na jezdni powstały korki. Policjanci, regulujący ruch, energicznymi gwizdkami i zamaszystymi gestami starali się przywrócić porządek.

Na ulicy La Fayette, jasno oświetlonej po stronie magazynów „Au Printemps” — była to godzina szczytu — tłum, złożony przeważnie z kobiet, tworzył gęstą, zbitą masę na chodniku. Trzeba było ten tłum skierować na boczne ulice, zatamować dalszy dopływ ludzi.

Jeden z odcinków ulicy opustoszał, widać na nim było tylko ciemne sylwetki policjantów.

Komisarz policji z komisariatu dziewiątego przybył tu wraz ze swoimi ludźmi. Specjaliści wymierzali i zakreślali kredą kontury na jezdni. Wsparty dwoma przednimi kołami o chodnik, stał samochód z rozbitą przednią szybą, a o dwa, trzy metry dalej widniała ciemna plama, nad którą stali ludzie i rozmawiali półgłosem.

Niewysoki, szpakowaty mężczyzna w ciemnym ubraniu, w wełnianym szydełkowym szaliku, trzymał jeszcze w trzęsącej się ręce kieliszek rumu, który przyniesiono mu z sąsiedniego baru. Był to kasjer z pobliskiego dużego sklepu artykułów gospodarstwa domowego przy ulicy Chateaudun.

Po raz trzeci czy czwarty rozpoczynał swoją relację, unikając spoglądania na nieruchomy kształt ludzki leżący o kilka metrów dalej, przykryty szarym papierem.

Z tyłu, za kordonem policji, napierał tłum i dobiegały stamtąd głosy podekscytowanych kobiet.

— Jak zawsze, w końcu miesiąca...

Maigret nie pamiętał, że dziś właśnie jest 31 stycznia.

— ...poszedłem do banku, na tyłach Opery, podjąć pieniądze na wypłatę dla personelu...

Maigret wiedział, gdzie jest ten jego magazyn: trzy piętra stoisk, dwa podziemia, jakieś trzysta osób zatrudnionych.

— ... miałem do przejścia nie więcej niż pięćset, sześćset metrów. Trzymałem walizeczkę w prawej ręce...

— Nie była przymocowana łańcuszkiem do przegubu pańskiej ręki?

Człowiek ten nie był zawodowym kasjerem, żadnego zabezpieczenia nie przewidziano. Miał tylko w prawej kieszeni płaszcza rewolwer. Przeszedł na drugą stronę ulicy po zebrze i skierował się w stronę ulicy Taitbout. Tłum był tak wielki, iż wydawało się, że nic mu w



takim tłoku nie grozi. Nagle zauważył, że jakiś człowiek idzie tuż obok niego, a gdy odwrócił głowę, stwierdził, że drugi depta mu po piętach.

Wszystko to, co wydarzyło się później, odbyło się tak błyskawicznie, że teraz z trudem odtwarzał w pamięci przebieg wydarzeń. Przypomniawszy sobie tylko, że usłyszał tuż nad uchem słowa:

— Jeśli ci życie miłe, nie udawaj chojraka!

I w tej samej chwili wyrwano mu brutalnie z ręki walizeczkę. Jeden z napastników pobiegł szybko w stronę auta, które w zwolnionym tempie przejeżdżało tuż obok chodnika. Usłyszawszy strzał kasjer w pierwszej chwili myślał, że to strzelano do niego. Powstał tumult, rozległy się dokoła krzyki i piski kobiet. Drugi strzał i — brzęk rozbitego szkła. Podobno padło jeszcze kilka strzałów, niektórzy świadkowie mówili, że cztery czy pięć.

Jakiś mężczyzna, mocno poruszony, z twarzą czerwoną jak burak, rozmawiał na uboczu z komisarzem policji. Był bardzo przejęty, nie wiedział bowiem, czy go uznają za bohatera, czy też pociągną do odpowiedzialności.

Był to policjant z tej samej, dziewiątej dzielnicy, nazywał się Margeret. Nie będąc na służbie tego dnia nie miał na sobie munduru. Dlaczego więc nosił rewolwer w kieszeni? Będzie musiał się z tego później tłumaczyć.

— Szedłem spotkać się z żoną, która poszła po zakupy. Byłem świadkiem napadu rabunkowego. Widziałem trzech osobników biegnących w stronę auta...

— Było ich trzech?

— Jeden po jednej, drugi po drugiej stronie kasjera, trzeci z tyłu...

Strzelał policjant Margeret. Pod jednym z bandytów najpierw ugięły się kolana, a po sekundzie rozciągnął się jak długi u nóg kobiet, które rzuciły się do ucieczki w drugą stronę.

Auto pędziło w kierunku ulicy Saint-Augustin. Policjant regulujący ruch wydawał przeraźliwe gwizdki. Z wnętrza samochodu, który po chwili zagubił się wśród innych pojazdów, padło kilka strzałów.

W ciągu dwóch ostatnich dni Maigret nie miał czasu myśleć o zamordowanym Szwajcarze. Dwa razy telefonował do niego w tej sprawie inspektor Fumel, prosząc o dalsze instrukcje.

Zanotowano nazwiska i adresy około pięćdziesięciu świadków, wśród nich sprzedawczyni wafli, której stragan stał w pobliżu, skrzyżka-kaleki, który na rogu ulicy zbierał do czapki datki od przechodniów, i dwóch kelnerów z kawiarni naprzeciwko miejsca wypadku, jak również kasjerki, która utrzymywała, że wszystko widziała, chociaż szyby na tarasie były zapocone od pary.

Ofiarą wypadku padł Bogu ducha winien przechodzień, trzydziestopięcioletni mężczyzna, żonaty i dzieciaty, człowiek, który zginął od przypadkowej kuli, na pewno nie wiedząc dlaczego.

Po raz pierwszy odkąd rozpoczęła się seria tych napadów rabunkowych w śródmieściu, udało się ująć członka bandy postrzelonego przez policjanta Margereta, który niezwykłym zbiegiem okoliczności znalazł się na miejscu wypadku.

— Zamierzałem strzelić w nogi, żeby przeszkodzić mu w ucieczce...

Kula jednakże trafiła bandytę w kark i obecnie leżał, nie odzyskawszy przytomności, w szpitalu Beaujon, do którego przewiozła go karetka pogotowia.

Pod drzwiami jego separatuki czuwali na przemian inspektorzy Lucas, Janvier i Torrence, wyczekując momentu, kiedy odzyska świadomość i zacznie mówić, gdyż lekarze nie tracili nadziei, iż uda się go uratować.

Nazajutrz, jak słusznie przewidział kierowca radiowozu, jezdnie były pokryte szklivem gołoledzi. Pojazdy poruszały się w ślimaczym tempie. Ciężarówki magistrackie posypywały piaskiem główne arterie miejskie.

W długim korytarzu Wydziału Śledczego pełno było ludzi czekających na wezwanie do gabinetu komisarza Maigreta, on zaś zadawał przesłuchiwanym świadkom cierpliwie wciąż

jedno i to samo pytanie i stawiał kabalistyczne znaki na planie sporządzonym przez specjalistów.

Wieczorem, w dniu kiedy miał miejsce napad rabunkowy, Maigret pojechał do Fontenay-aux-Roses. Ze znalezionych przy rannym bandycie dokumentów wynikało, iż nazywa się Joseph Raison, z zawodu jest monterem i mieszka pod Paryżem, w Fontenay-aux-Roses.

W nowoczesnej kamienicy, w mieszkaniu jasnym i schludnym Maigret zastał młodą blondynkę i dwie dziewczynki, sześćo- i dziewięcioletnią, zajęte odrabianiem lekcji.

Joseph Raison, lat czterdzieści dwa, rzeczywiście pracował jako monter w fabryce przy Quai de Javel. Miał mały samochodzik i co niedziela wyjeżdżał z rodziną na wieś.

Żona zachowywała się tak, jakby nie wiedziała o niczym, i Maigret uwierzył, że tak jest w istocie.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego on się w to wplątał, panie komisarzu. Byliśmy tacy szczęśliwi. Kupiliśmy to mieszkanie przed dwoma laty. Joseph dobrze zarabiał. Nie pił, nigdzie prawie nie bywał sam, beze mnie...

Komisarz Maigret zabrał ją do szpitala Beaujon. Widziała męża przez kilka chwil, na dłużej lekarze, mimo jej próśb i nalegań, nie pozwolili.

Trzeba było rozeznaczyć się z kolei w gmatwaninie mętnych i często sprzecznych ze sobą relacji świadków. Jedni widzieli za mało, inni przeciwnie, 'za dużo. Niektórzy wzdragali się przed składaniem zeznań.

— Jak będę sypał, to oni mnie już znajdą...

Udało się jednakże Maigretowi odtworzyć w miarę dokładny rysopis tych dwóch, którzy osaczyli kasjera, i tego, który wyrwał mu walizeczkę.

Jeden z kelnerów z kawiarni naprzeciwko miejsca napadu od razu rozpoznał na pokazywanych mu fotografiach Fernanda.

— Wszedł do naszego lokalu na jakieś dziesięć czy piętnaście minut przed napadem i zamówił białą kawę. Siedział przy stoliku, tuż obok drzwi, na oszklonej werandzie...

— Po jakimś czasie Maigret, na podstawie zeznań świadków, dowiedział się, iż Fernand w dniu 31 stycznia miał na sobie gruby brązowy płaszcz.

Był to na pozór szczegół bez większego znaczenia, ale utwierdzał komisarza Maigreta w przekonaniu, iż hersztem bandy był właśnie on, ex-więzień z Saint-Martin-de-Ré.

Ciężko ranny uczestnik napadu, leżący w szpitalu Beaujon, odzyskał na kilka chwil przytomność, ale zdołał wyszeptać tylko:

— Monika...

Tak miała na imię jego młodsza córka.

Komisarza Maigreta uderzyło pewne spostrzeżenie: okazuje się, że obecnie ludzie z bandy Fernanda rekrutują się nie z profesjonalistów, notorycznych rzezimieszków i złodziei, tylko z nowicjuszy i chyba amatorów w gangsterskim zawodzie.

Z Prokuratury telefonowano do niego co godzina i przysyłano mu jeden raport za drugim.

Po wyjściu z biura opadła go chmara dziennikarzy.

W piątek o jedenastej korytarz nareszcie opustoszał. Maigret był właśnie w trakcie rozmowy z Lucasem, który wrócił ze szpitala i opowiadał, iż słynny „chirurg chce się podjąć operacji rannego, gdy wtem zapukano do drzwi.

— Proszę! — mruknął Maigret zniecierpliwiony.

Wszedł Fumel, ale gdy zorientował się, że przychodzi nie w porę, skurczył się cały, zmalął. Był wyraźnie zakatarzony, oczy miał załzawione, nos zaczerwieniony.

— Może przyjdę później?

— Wejść!...

— Zdaje mi się, że natrafiłem na ślad... Właściwie nie ja sam, tylko ludzie z brygady śledczej wykryli... Wiem, gdzie Cuendet mieszkał przez ostatnie pięć tygodni.

Maigret słuchał tego z westchnieniem ulgi: nareszcie będzie mógł dowiedzieć się czegoś nowego o tajemniczym Szwajcarze...

— W małym, dość podłym hoteliku, przy ulicy Neuve–Saint–Pierre...

— Gdzie to? W jakiej dzielnicy?

— W tej samej, w której mieszkał dawniej. Saint–Paul.

— Za kościołem świętego Pawła?

— To mała uliczka, bardzo stara, między nabrzeżem Sekwany a ulicą Saint–Antoine. Jest tam parę małych sklepików i prawie żadnego ruchu samochodowego.

— Opowiadaj dalej.

— Hotelik nie najlepszej reputacji, chyba taki na godziny. Ale przyjmują i na dłużej, mają kilka pokoi wynajętych na dłuższy czas. Cuendet mieszkał tam prawie od miesiąca, mało kto go widział, prawie nie wychodził, chyba tylko po to, żeby coś zjeść w knajpce, która nazywa się Petit–Saint–Paul.

— Co znajduje się naprzeciwko tego hoteliku?

— Pałacyk z osiemnastego wieku, całkowicie odrestaurowany przed kilkoma laty.

— Kto tam mieszka?

— Samotna osoba, jeśli nie liczyć służby. Niejaka pani Wilton.

— Zebrałeś informacje o niej?

— Zacząłem zbierać w tej dzielnicy, ale nikt nic o niej nie wie.

Od niedawna — od jakichś dziesięciu może lat — stało się modne wśród ludzi, bardzo bogatych oczywiście, kupowanie starych domów w dzielnicy Marais, przy ulicy des Francs–Bourgeois na przykład, i doprowadzanie ich do i takiego wyglądu, jaki miały w siedemnastym czy osiemnastym wieku.

Pęd do odrestaurowywania starych domostw lub pałaców rozpoczął się od Wyspy Świętego Ludwika i teraz wciąż jeszcze istniał popyt na tego typu budynki, nawet jeśli się znajdowały przy ulicach najbardziej odludnych.

— Przed pałacykiem spory dziedziniec — relacjonował dalej Fumel — pośrodku wysokie drzewo... W tej dzielnicy drzewa są raczej rzadkością.

— Właścicielka jest wdową?

— Rozwódką. Widziałem się z pewnym dziennikarzem, któremu od czasu do czasu oddaję pewne drobne przysługi, to jest udostępniam mu wcześniej niektóre informacje, oczywiście nie tajne, tylko takie, które można puścić w obieg... A tym razem to on mnie wyświadczył przysługę. Udzielił mi informacji o tej pani. Rozwódka, ale chociaż nie żyje z mężem, widuje się z nim często, nawet bywają razem w towarzystwie...

— Jak się nazywa jej mąż?

— Wilton. Stuart Wilton. Ona zachowała, za jego zgodą, mężowskie nazwisko. Z domu — jak sprawdziłem w komisariacie dzielnicowym — panna Lenoir. Florence Lenoir. Matka jej była prasowaczką bielizny, ojciec policjantem. Mieszkali przy ulicy de Rennes. Ona sama — ni to aktorka, ni to baletnica. Mój dziennikarz twierdzi, że była girlsą w „Casino de Paris”. Stuart Wilton zakochał się w niej, rozwiódł się dla niej ze swoją pierwszą żoną i ożenił się z nią...

— Kiedy to było?

Maigret bazgrał coś ołówkiem na bibule, mając przed oczyma postać Honoré Cuendeta siedzącego przy oknie hoteliku o podejrzanym renomie.

— Jakieś dziesięć, dwanaście lat temu... Pałacyk zakupił Wilton. Ma jeszcze drugi, nie mniej świetny, w Auteuil, a także zameczek w Bessé, niedaleko Maisons–Laffitte...

— Gra na wyścigach?

— O ile mi wiadomo, jest stałym bywalcem wyścigów, ale własnej stajni nie posiada.

— Amerykanin?

— Nic, Anglik. Mieszka we Francji od bardzo dawna.

— Skąd ma tak dużo pieniędzy?

— Powtarzam tylko to, czego sam się dowiedziałem. Pochodzi z rodziny wielkich przemysłowców i odziedziczył szereg patentów i licencji. To przynosi mu sporo forsy bez żadnych wysiłków z jego strony. Podróżuje przez prawie połowę roku, na lato wynajmuje willę w Cap-d'Antibes lub w Cap-Ferrat, należy do kilku ekskluzywnych klubów. Mój dziennikarz twierdzi, że jest to ktoś bardzo znany, ale w kołach raczej zamkniętych, i dlatego jego nazwisko rzadko można spotkać w prasie.

Maigret wstał, włożył płaszcz, szyję owinął szalikiem.

— Idziemy! — rzucił krótko.

A do Lucasa:

— Gdyby ktoś o mnie pytał, będę za godzinę.

Mról i gołoledź sprawiły, że ulice były, prawie tak samo jak to się zdarza w sierpniu, puste. Na wąskiej uliczce Neuve-Saint-Pierre nie widać było nikogo, nawet bawiących się dzieci.

Nad wpółotwartymi drzwiami Hotelu „Lambert” wisiała mleczna kula z żarówką, a w łóżu portiera, w hallu zalatującym stęchlizną, siedział stary człowiek, oparty plecami o kaloryfer, i czytał gazetę.

Poznał od razu inspektora Fumela i wstając mruknął pod nosem:

— Zaczyna się... Od razu wiedziałem, że będą nieprzyjemności!

— Nie będzie pan miał żadnych nieprzyjemności, o ile pan umie trzymać język za zębami. Pokój Cuendeta nie jest jeszcze przez nikogo innego zajęty?

— Nie. Zapłacił za miesiąc z góry. Mógłbym wprowadzić wynajmując po 31 stycznia, ale ponieważ ten pan zostawił swoje rzeczy, wołałem poczekać.

— Kiedy widział go pan po raz ostatni?

— Zaraz, niech sobie przypomnę.... O ile się nie mylę, to w sobotę... a może w piątek... Najlepiej zapytać pokojówkę.

— Uprowadził pana, że opuszcza pokój na dłużej?

— Nic mi nie mówił. W ogóle nigdy nic nie mówił.

— A tej soboty czy w piątek... o której wyszedł?

— Nie wiem. To nie ja, to moja żona go widziała. W nocy, kiedy któryś z naszych lokatorów przychodzi z dziewczyną, nie lubi, żeby widział go mężczyzna... To go krępuje. Więc w nocy dyżuruje moja żona.

— I nic panu nie mówiła?

— Może pan sam z nią porozmawiać. Za chwilę tu przyjdzie.

W hallu powietrze było przegrzane, zastałe, duszne — a przy tym przepojone jakąś dziwną wonią, jakby środka dezynfekcyjnego — co w sumie przypominało zaduch panujący w tunelu kolejki podziemnej.

— Jeżeli dobrze pamiętam, żona mówiła, że on nie wychodził tego wieczora w ogóle.

— Czy to się często zdarzało?

— Czasami. Kupował sobie coś do jedzenia i wracał na górę do swego pokoju. Widzieliśmy, jak wchodził po schodach z gazetą i z zakupami. Mówił „dobranoc” i nie pokazywał się do rana.

— A tego wieczora wychodził i wrócił?

— Chyba nie, bo nie zastaliśmy go w pokoju nazajutrz rano. Aha, przypominam sobie: żona mówiła, że widziała go w nocy. Odprowadzała jakąś parkę do pokoju na pierwszym piętrze, w głębi korytarza. Poszła po czyste ręczniki dla nich i nagle usłyszała, że ktoś schodzi po schodach.

— Która to była godzina?

— Zaraz po północy. Nawet żona była ciekawa, kto o tej porze wychodzi, ale zanim wróciła z ręcznikami, ten ktoś już był na dole.

— Kiedy pan dowiedział się, że nie nocował u siebie w pokoju?

— Nazajutrz. Chyba tak koło dziesiątej, jedenastej, kiedy pokojówka zapukała do niego, żeby posprzątać. Nikt nie odpowiadał, więc weszła i zauważyła, że łóżko nie było na noc rozścielone.

— Nie zawiadamiał pan policji, że lokator wyszedł i dotychczas nie wrócił?

— A niby dlaczego? Cóż to, gość nie może robić, co mu się podoba? Zapłacił. Zawsze płacił z góry. Często się tak zdarza, że gość nagle wyjeżdża i nikogo wcześniej nie uprzedza...

— Wyjeżdża i zostawia swoje rzeczy?

— Co tam są warte takie rzeczy!...

— Proszę zaprowadzić nas do jego pokoju.

Właściciel hoteliku, szurając pantoflami, powlekł się za nimi na górę. Nie był jeszcze stary, ale ruszał się z trudem i na schodach dostawał zadyszki.

— To na trzecim piętrze... — westchnął.

Na podeście leżał cały stos bielizny pościelowej i drzwi do kilku pokoiów były otwarte — widocznie podczas sprzątania.

— To ja, Rózo! Idę z panami na trzecie.

Im wyżej, tym większy panował zaduch. Na trzecim nie było na korytarzu nawet chodnika. Z któregoś pokoju dobiegały dźwięki harmonijki.

— To tu.

Na drzwiach widniał numer 33, dość krzywo namalowany czarną farbą.

W pokoju powietrze było zatęchłe, jak to bywa w zamkniętych, nie wietrzonych pomieszczeniach.

— Wszystko tu jest tak, jak zostawił.

— Niczego pan nie ruszał?

— Byłem pewien, że on wróci... Wyglądał przyzwoicie... Nawet zastanawiałem się, co on ma do roboty w takiej dzielnicy! Zawsze był dobrze ubrany i forsy też mu pewno nie brakowało.

— Skąd pan wie, że on miał pieniądze?

— Dwa razy, kiedy mi płacił, widziałem grube banknoty w jego portfelu.

— Nie przyjmował żadnych gości?

— Nie widziałem — ani ja, ani moja żona. A jedno z nas zawsze jest w łoży.

— W tej chwili na przykład nie ma nikogo.

— Pewno, może się zdarzyć, ale tylko na kilka minut i jak panowie słyszeli, uprzedziłem pokojówkę...

— Przychodziły do niego jakieś listy?

— Nigdy.

— Kto zajmuje sąsiedni pokój?

Był tylko jeden sąsiedni. Numer 33 znajdował się m samym końcu korytarza.

— Olga. Taka tam... jedna. Uliczna.

Właściciel hoteliku wiedział, że kręcić nie ma po co; i tak policja wie o wszystkim, co się tu dzieje.

— Jest teraz u siebie w pokoju?

— O tej porze pewno śpi.

— Dziękujemy panu. Wolelibyśmy teraz zostać już sami.

Właściciel hoteliku wyszedł szurając pantoflami, zły i nachmurzony. Z zetknięcia z policją nigdy nic przyjemnego nie wynika.

Maigret zamknął za nim drzwi i zabrał się do przeglądania rzeczy Cuendeta. Otworzył nędzną sosnową szafę; lichy politurowaną, ze źle umocowanym zamkiem, z którego wypadł klucz.

Nie było tu nic godnego uwagi: para czarnych bucików, porządnie wyglansowanych, pantofle letnie, prawie nowe i szary garnitur starannie rozwieszony na ramiączku. Na górnej półce leżał kapelusz, ciemny, pilśniowy, z etykietką dobrej firmy.

W dolnej szufladzie znajdowało się siedem koszul, sześć białych i jedna bladoniebieska, kalesony, chustki do nosa, wełniane skarpetki. W szufladzie obok dwie piżamy i książki: „Wrażenia z podróży po Włoszech”, „Medycyna popularna” (obie wydane w roku 1899) i jakaś współczesna powieść sensacyjna.

Na umeblowanie pokoju składało się żelazne łóżko, okrągły stół przykryty serwetą z ciemnozielonego pluszu, jedyny fotel, mocno sfatygowany, z wylażącymi sprężynami. Zastony nie były ściągnięte, a przez zazdrostki wpadało skąpe światło z podwórza.

Maigret stanął przy oknie. Zobaczył przede wszystkim obszerny dziedziniec przed ni to patrycjuszowskim domem, ni to pałacykiem znajdującym się naprzeciwno. W pobliżu ganeczku z oszklonymi dwuskrzydłowymi drzwiami, na który prowadziło kilka stopni, stał duży czarny samochód angielskiej marki bentley.

Fasada budynku została starannie odczyszczona i nabrała delikatnego, perłowego odcienia, okna zaś były ujęte w staroświeckie, wymyślnie rzeźbione framugi.

Na parterze paliła się lampa, rzucając światło na dywan o pięknym, skomplikowanym wzorze, na stojący pod oknem stylowy fotel i okrągły stoliczek na wygiętych nóżkach.

Okna na pierwszym piętrze były wysokie, wąskie, na drugim — jakby ścięte ukośnie, mansardowe.

Cały pałacyk, w sumie dość niski, nie był chyba tak obszerny, jak by na to wskazywała fasada. Mieścił zapewne nie więcej niż kilka sporych pokojów.

Przez dwa otwarte okna na pierwszym piętrze widać było wewnątrz: lokaj w pasiastej kamizelce sprzątał za pomocą odkurzacza duży pokój, chyba salon.

— Spałeś tej nocy, Fumel?

— Tak, szefie. Prawie całe osiem godzin.

— Głodny jesteś?

— Nie bardzo.

— Przyślę kogoś, żeby cię zluzował. Na razie masz usadowić się w tym fotelu i patrzeć przez okno. Dopóki nie zapalisz światła, stamtąd nie będzie cię widać.

Czyż nie tak właśnie zachowywał się Cuendet w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu tygodni?

— Uważaj, kto wchodzi i wychodzi, a jak zajedzie jeszcze jakiś samochód, zanotuj numer.

W chwilę później Maigret zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju. Musiał czekać jakiś czas, zanim usłyszał skrzypnięcie sprężynowego materaca, a potem stukot obcasików na podłodze. Drzwi uchylły się nieznacznie.

— Kto tam? — zapytał głos z wnętrza pokoju.

— Policja!

— Znowu?!

I z rezygnacją ów kobiecy głos dorzucił:

— Proszę wejść!

Otworzyła szeroko drzwi. Była w koszuli nocnej, zapewne niewyspana, powieki miała zapuchnięte. Makijaż, którego nie zmyła przed snem, rozmazał się brzydko na jej twarzy.

— Mogę się położyć?

— Dlaczego powiedziała pani „znowu”? Była tu już dziś policja?

— Tutaj nie. Ale zaczepiali mnie na ulicy. Od kilku tygodni gliny nie dają nam spokoju. Z sześć razy w ciągu tego miesiąca nocowałam w ciupie. Co znowu tym razem?

— Nic, mam nadzieję. Proszę, żeby pani nie mówiła nikomu o mojej wizycie.

— Pan nie z obyczajówki?

— Nie.

— Coś mi się majaczy, że ja gdzieś już widziałam pana na zdjęciu.

Gdyby nie ten rozmazany makijaż i źle ufarbowane włosy, byłaby całkiem niebrzydka. Może trochę za tęga, ale ciało miała jędrne, oczy błyszczące, o żywym spojrzeniu.

— Jestem komisarz Maigret.

— Co się stało?

— Nie wiem jeszcze. Od jak dawna pani tu mieszka?

— Od października. Jak wróciłam z Cannes. Zawsze wpadam do Cannes na lato.

— Zna pani swego sąsiada?

— Którego?

— Spod numeru 33.

— Tego Szwajcara?

— Skąd pani wie, że to Szwajcar?

— Poznałam po akcencie. Pracowałam w Szwajcarii trzy lata temu. W kabarecie, w Genewie, ale nie przedłużyli mi zezwolenia na pobyt. Tamtejsze dziewczyny nie lubią konkurencji!

— Rozmawiał z panią? Przychodził do pani?

— Sama raz poszłam do niego. Któregoś dnia, po południu to było. Zbudziłam się i widzę, że nie mam papierosów. Spotkałam go parę razy na korytarzu, zawsze mówił grzecznie dzień dobry.

— No i co dalej?

Mimikę miała bardzo wyrazistą.

— Właśnie, że nic nie było! Zapukałam do jego drzwi. Długo mi nie otwierał. Nawet byłam ciekawa, co on tani u siebie robi. Okazało się, że był całkiem ubrany, żadnego nieładu w pokoju i palił fajkę. Nikogo u niego nie było. Zapytałam: „Papierosów pan nie ma?” Powiedział, że nie ma, niestety, bardzo żałuje, ale może skoczyć na dół i mi przynieść. Byłam, tak jak teraz, nie ubrana, w samej koszuli nocnej. Na stole u niego leżała czekolada; jak zobaczył, że na nią łakomie patrzę, ułamał kawałek i mnie poczęstował. Myślałam, że będę musiała mu się zrewanżować. Po sąsiedzku... Sam pan chyba rozumie... Ale on nic. To i ja nic. Jadłam czekoladę, ale z pokoju nie wychodziłam. Patrzę, co on czyta. Jakąś książkę o Włoszech, z takimi starymi rycinami. „Nie przykrzy się tak panu?” — pytam. — „Sam jeden?” Chyba nie byłby od tego... Nie jestem przecież odpychająca... Ale widocznie nie mógł się zdecydować, bo nagle powiedział: „Muszę wyjść. Ktoś na mnie czeka...”

— I to już wszystko?

— Chyba tak. Ściany tu są cienkie, słychać, co się dzieje w drugim pokoju. A tu u nas w nocy różnie bywa, czasem trudno zasnąć... pan wie przecież, jak to jest! Ale on nigdy nie uskarżał się na hałasy. Ustęp jest na końcu korytarza, więc tylko jedno mogę powiedzieć na pewno, kładł się spać bardzo późno, spotykałam go parę razy w środku nocy, jak szedł do toalety; zawsze był całkiem ubrany.

— Nie zdarzyło się pani kiedy rzucić okiem na ten dom naprzeciwko?

— Tam gdzie mieszka ta wariatka?

— Dlaczego pani nazywa ją wariatką?

— Bo ona wygląda na taką, co ma bzika. Pewno, że stąd widać dobrze, co się tam dzieje. Nieraz po południu, jak nie mam co robić, siadam przy oknie i patrzę. Rzadko kiedy oni tam zaciągają zasłony, a wieczorem to nawet duża frajda patrzeć na te ich żyrandole. Mają tam takie ogromne świeczniki, całe kryształowe, i mnóstwo innych lamp... Jej pokój jest akurat naprzeciwko mojego. Czasami przed wieczorem zaciąga zasłony, ale rano jej okno jest zawsze odsłonięte, a ona, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, paraduje po pokoju całkiem naga. A może spaceruje tak umyślnie? Niektóre kobiety mają podobnego fioła. Do swoich osobistych posług trzyma dwie pokojówki, ale czasem dzwoni na lokaja i nic sobie z tego nie robi, że on widzi ją tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Często przychodzi do domu fryzjer i

czesze ją tak fikuśnie, że pęknać można ze śmiechu, gdy się na to patrzy. Pewnie wtedy wybiera się na jakąś większą galę. Dobrze się trzyma jak na swoje lata i wcale nie jest brzydka, muszę jej to przyznać...

— Ile może mieć lat?

— Chyba ze czterdzieści pięć... Ale może i więcej. Takie kobiety jak ona, wypielęgowane, wychuchane, zadbane, mogą mieć dobrze po pięćdziesiątce i nikt się na tym nie pozna!

— Bywają u niej goście?

— Czasami przyjeżdżają jacyś panowie z wizytą. Dwa, trzy auta, rzadko kiedy więcej. Częściej ona sama się dokądś wybiera.

— Sama?

— Nie. Przeważnie z tym swoim żigolakiem.

— Kto to taki?

— Nie powiem, żeby to był taki sobie zwykły żigolak. Młodziak, w porównaniu z nią szczawik, młodszy od niej o jakie dwadzieścia lat. Ładny chłopak, wysoki brunet, ubrany jak ta lala, a wóz ma istne cacko. Sam prowadzi, bez szofera.

— I często u niej bywa?

— Nie mogę tak ciągle siedzieć przy oknie, niestety! Wychodzę gdzieś koło szóstej, a wracam późno w nocy. Taki to fach... Skąd mogę wiedzieć, czy on często do niej przychodzi?

— A jak pani przypuszcza?

— Bo ja wiem. Chyba ze dwa, trzy razy na tydzień.

— I nocuje?

— Tego jestem pewna; jasne, że u niej spędza noce. Zwykle wstaję dość późno, ale w dni, kiedy mam wyznaczone wizyty lekarskie, muszę wychodzić wcześniej rano. Ci pańscy koledzy chyba nam to robią na złość, wyznaczając takie wczesne godziny! No więc kilka razy tak było: ja wychodzę na dziewiątą, a samochód tego żigolaka wciąż jeszcze stoi przed domem... Znowu ten drugi...

— Jest jeszcze drugi?

— Pewnie! Ten stary. Musi mieć kogoś poważnego, no nie?

Maigret nie mógł pohamować uśmiechu, słysząc podobną interpretację faktów.

— Czego pan się śmieje? Powiedziałam jakieś głupstwo?

— Nie, skądże! Proszę mówić dalej.

— Bardzo elegancki ten starszy pan, siwy, przyjeżdża czasem rolls-roycem, ma szofera. A jaki to ładny chłopak ten szofer!

— I on także zostaje na noc u tej pani?

— Nie, chyba nie. Przyjeżdża na krótko i zaraz odjeżdża. Jeśli dobrze pamiętam nie widziałam go nigdy późnym wieczorem. Zjawia się tak około piątej. Pewnie na herbatkę...

Była dumna z siebie, że mogła przy sposobności zademonstrować swoją znajomość eleganckiego świata. Wiedziała, że niektórzy „wielcy państwo” o piątej po południu „piją herbatkę”...

— Pewno nie dowiem się, dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania.

— Zgadła pani.

— Mam trzymać język za zębami?

— Zależy mi na tym ogromnie.

— I tak będzie lepiej dla mnie samej, prawda?

— Z pewnością.

— Proszę się nie obawiać. Słyszałam już o panu, koleżanki mi opowiadały, ale wyobrażałam sobie pana inaczej. Myślałam, że pan jest dużo starszy.

Uśmiechnęła się, przeciągając się pod kołdrą. Po krótkiej chwili milczenia zapytała:



— Nie?

Odpowiedział, również z uśmiechem:

— Nie.

Roześmiała się głośno.

— Tak jak ten mój sąsiad... Co?

Po chwili zapytała, już poważnie:

— A co on takiego przeskrobał?

Maigret był już prawie gotów powiedzieć jej prawdę. Miał wielką pokusę wtajemniczyć ją w tę sprawę. Wiedział, że może liczyć na jej dyskrecję. Wiedział także, że ona potrafi zrozumieć wiele, dużo więcej niż na przykład taki sędzia Cajou. Może pewne poszlaki, które mu umknęły, byłyby dla niej, gdyby wiedziała, o co chodzi, oczywiście?

Nie, nie teraz. Może później. Jeśli będzie trzeba.

— Pan tu jeszcze wróci?

— Być może. Gdzie tu można niedaleko przyzwoicie zjeść?

— Naturalnie tylko w „Petit Saint–Paul”. Szefowa tam sama gotuje i jeśli pan na przykład lubi przysmażane kielbaski, nie znajdzie pan lepszych nigdzie. Tylko że obrusy w tej knajpce są papierowe i obsługa nie najlepsza... Kelnerka za bardzo wdzięczy się do gości...

Komisarz Maigret skorzystał z jej rady. Ale zanim jeszcze usiadł przy stoliku w małej restauracyjce, zatelefonował do żony, żeby ją uprzedzić, «że nie wróci do domu na drugie śniadanie; zje na mieście.

Nie, nie zapomniał o swoich obowiązkach — o sprawie Fernanda i jego gangu. Ale musiał „przetrawić” bliższą mu i bardziej intrygującą sprawę zabójstwa Cuendeta, i to koniecznie w samotności.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Tak, potrzebna mu była i samotność, i odprężenie, a pozwolić sobie na to mógł tylko ukradkiem. Trochę gryzie go z tego powodu sumienie. Trochę, ale nie za bardzo: przysmażane kielbaski rzeczywiście okazały się pyszne. Olga nic a nic nie przesadziła, a wino beaujolais, choć cokolwiek zgęstniałe, miało wciąż jeszcze wyborny smak i zapach. Najważniejsze zaś było to, że siedząc w drugorzędnej restauracyjce, przy stoliku przykrytym zamiast obrusa białym papierem, mógł spokojnie oddawać się rozmyślaniom.

Szefowa, niska i gruba, z siwym kokiem na czubku głowy, co jakiś czas otwierała drzwi do kuchni, żeby rzucić okiem na salę i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku; miała na sobie fartuszek, taki sam niebieski fartuszek, jaki nosiła kiedyś matka Maigreta, ciemniejszy przy brzegach, wyblakły pośrodku od częstego prania.

Kelnerka rzeczywiście zachowywała się dość dziwnie, choć wcale nie tak, jak to zapowiadała Olga. Była to wysoka brunetka o bladej cerze, boleśnie skrzywiona. Co jakiś czas grymas cierpienia, niby skurcz, przebiegał po jej twarzy. Komisarz domyślał się, że tego dnia przeszła skrobankę.

Na sali było kilku robotników w kombinezonach roboczych, paru Algierczyków i sprzedawczyni gazet z pobliskiego kiosku, w męskiej marynarce i męskim kaszkiecie na głowie.

Czy to ma jakikolwiek sens pokazywać fotografię Cuendeta kelnerce lub wąsatemu szefowi, który nalewał wina?

Z tego samego miejsca, które w tej chwili zajmował Maigret, w kącie sali, przy oknie, mógł Cuendet, wycierając co jakiś czas rękawem zapotniałe szyby, widzieć dom naprzeciwko jak na dłoni, mógł obserwować, co się dzieje na ulicy.

Z całą pewnością nie zwierzał się nikomu. Uważano go tu, jak zresztą wszędzie, za cichego, spokojnego człowieka, jakim w pewnym sensie był naprawdę.

Maigret znał podobnych samotników. Taki na przykład słynny Commodore, który nosił monokl w oku, czerwony goździk w butonierce, zatrzymywał się w najelegantszych hotelach, miał nieskazitelne maniery i prezentował się jako pełen godności, dystygowany szpakowaty starszy pan — tak dystygowany, że nikomu nie przychodziło do głowy podejrzewać go o „długie ręce”. I rzeczywiście nigdy nie powinęła mu się noga, nikt go nie przyłapał na gorącym uczynku i nikt nie wiedział, co się z nim później stało. Może schronił się gdzieś na prowincji pod przybranym nazwiskiem, a może teraz jeszcze wygrzewa stare kości w słońcu na jakiejś dalekiej wyspie Pacyfiku? Czy może zadźgał go jakiś nie znany zbrodniarz, łasy na jego forszę...

Dawniej także istniały przecież zorganizowane bandy przestępcze, ale stosowały inne metody niż obecnie i co ważniejsze, rekrutowały się spośród osobników innego typu.

Gdyby na przykład dwadzieścia lat temu wydarzyła się podobna historia jak na ulicy La Fayette, Maigret wiedziałby od razu, gdzie szukać sprawców napadu — w jakiej dzielnicy, ba w jakiej kawiarni czy barze. Znał ich stałych bywalców, ludzi prymitywnych, co to mają profesję wypisaną na twarzy.

Obecni gangsterzy mają całkiem inne metody. Napad rabunkowy przy ulicy La Fayette został z góry precyzyjnie obmyślony i przewidziany do najmniejszego szczegółu — trzeba było tylko rzadkiego, niespodziewanego zbiegu okoliczności, który sprawił, iż wśród tłumu znalazł się policjant nie na służbie, wbrew regulaminowi posiadający przy sobie broń, który stracił głowę i narażając się na ryzyko, że położy trupem kogoś niewinnego, nie wytrzymał i strzelił, raniąc również i bandytę.

Co prawda Cuendet też ostatnio zmodernizował swoją technikę. Maigret przypominał sobie, co mówiła ta jego sąsiadka z hoteliku „Lambert”. Z dumą podkreśliła, że wie, co to są

wielkopańskie maniery. Herbata o piątej po południu... Tak się zachowywał elegancki, jakże daleki dla niej Cuendet. Cuendet, obserwując ze swego okna dom naprzeciwko, przyswajał sobie obyczaje jego mieszkańców, uczył się od nich ogłady, poloru, etykiety.

Nie, on nie będzie wybijał szyb, nie będzie używał łomu, nie będzie stosował żadnego z tych brutalnych narzędzi, jakimi posługują się pospolicci włamywacze. Ucieknie się do sposobów bardziej wyrafinowanych, a przy tym bardziej ryzykownych...

Na ulicy widać było przechodniów o twarzach zsiniałych z zimna, jak zacierali zgrabią ręce. Każdy spieszy, każdy jest zajęty własnymi sprawami, każdy ma jakieś swoje kłopoty, może nawet przeżywa dramaty, każdy ma jakiś bliższy czy dalszy cel przed sobą... Kto wie: może któryś także knuje występne plany?

— Płacić, proszę!

Kelnerka podeszła do stolika, nagryzmoliła 'jakieś cyfry na skraju papierowego obrusa, poruszając przy tym bezdźwięcznie wargami i rzucając od czasu do czasu okiem na czarną tablicę, na której wypisane były kredą ceny poszczególnych dań.

Maigret wrócił do biura pieszo, a w chwilę potem, gdy zasiadł nad plikiem akt, zapukał i wszedł do jego gabinetu inspektor Lucas. Otworzyli usta jednocześnie, żeby coś powiedzieć, ale komisarz był pierwszy:

— Trzeba wysłać kogoś, żeby zluzował Fumela. Hotel „Lambert”, ulica Neuve–Saint–Pierre.

Najlepiej nadawałby się ktoś z dawnej ekipy, z „gwardii przybocznej” komisarza Maigreta, jak żartobliwie nazywano jego najbliższych współpracowników. Może Lourtie? Albo Lesueur? Niestety, obaj zajęci. Więc chyba Baron? Tak, wyśle się jego z odpowiednimi wskazówkami.

— A coś ty chciał mi powiedzieć? Jest coś nowego?

— Tak. Inspektor Nicolas wpadł na pewien ślad...

Inspektor Nicolas miał wygląd tak niepozorny, że nie zwracał na siebie niczyjej uwagi i dlatego jego właśnie wysłano, żeby pokręcił się po Fontenay–aux–Roses i spróbował coś „wynuuchać”. Jego misja polegała na spenetrowaniu, co się dzieje u sąsiadów Josepha Raison, posłuchaniu, co mówią ludzie w okolicznych sklepach, w garażu, w którym zostawił swój wóz.

— Nie wiem jeszcze, szefie, czy to ma jakieś znaczenie, ale wydaje mi się, że jedna nić została uchwycona.

— Mów!

— Wczoraj wieczorem dowiedziałem się, że Joseph Raison i jego żona bywali u sąsiadów w tej samej kamienicy. Nawet byli ze sobą zaprzyjaźnieni. Wieczorami oglądali razem telewizję. Gdy jedno z małżeństw wybierało się do kina, drugie zabierało ich dzieci do siebie. Tamci nazywają się Lussac, są nieco młodszy niż Raison i jego żona. René Lussac ma lat trzydzieści jeden, żona o dwa, trzy lata mniej. Jest bardzo ładna; mają dziecko, chłopczyka, dwuipółletniego. Trzymając się pańskich wskazówek, panie komisarzu, zainteresowałem się tym facetem. René Lussac jest przedstawicielem handlowym wytwórni instrumentów muzycznych. I on także ma własny samochód, floridę. Obserwowałem go i gdy wyszedł z domu po kolacji i wsiadł do swego auta, ruszyłem w ślad za nim moim wozem. Nie wiedział, że ma mnie na kółku; gdyby zauważył, zgubiłby mnie z łatwością. Zatrzymał się w pobliżu Porte de Versailles i wszedł do takiej małej kafejki „U Przyjaciół”. Lokal dość podły, przychodzą tam pewno okoliczni drobni kupcy, żeby pograć w belotkę.

Czekali już na Lussaca dwaj goście; wyglądali na stałych bywalców, co to zajmują zawsze ten sam stolik. Zastanowiło mnie, co w tej budzie robi Lussac. Mieszka przecież pod Paryżem, przyjeżdża więc nie po to, żeby napić się kawy, tylko dlatego, że jest z kimś umówiony. Może też na karty?

— Wszedłeś do tej kawiarenki?

— Tak. Byłem pewien, że nie dostrzegł mnie w Fontenay–aux–Roses, więc ujawniając się nic nie ryzykowałem. Rzeczywiście nie zwrócił na mnie uwagi. Siedzieli wszyscy przy stoliku i jak gdyby nigdy nic grali w belotkę. Uderzyło mnie tylko, że co pewien czas zerkali na zegar.

O godzinie punktualnie wpół do dziesiątej Lussac wstał i poszedł do telefonu. Rozmawiał jakieś dziesięć minut. Obserwowałem go przez szybkę. Najpierw wykręcił numer, powiedział kilka słów, potem odwiesił słuchawkę i czekał, nie wychodząc z kabiny, na czyjś telefon. To znaczy, że było to połączenie nie lokalne, tylko podmiejskie.

Gdy po tej rozmowie wrócił do stolika, miał minę dość zatroskaną. Powiedział coś swoim współtowarzyszom, później rozejrzał się ostrożnie dokoła i dał im znak, żeby grali dalej.

— A co to za ludzie — ci, z którymi grał?

— Wyszedłem stamtąd przed nimi i czekałem w aucie, myślałem, że nie ma sensu śledzić Lussaca, gdyż on z pewnością wróci do Fontenay–aux–Roses. Postanowiłem nie spuszczać z oka tamtych dwóch facetów. Wybrałem jednego z nich, na chybił trafił tego starszego. Obaj byli swoimi samochodami. Jechałem za tym jednym aż do ulicy La Boetie, gdzie zostawił swój wóz w garażu, a sam udał się na ulicę de Ponthieu; to mała uliczka na tyłach Champs–Elysées; ma tam kawalerkę. Ustaliłem, że ten człowiek nazywa się Georges Macagne. Szukałem tego nazwiska w kartotece karanych sądownie. Tak, ma kilka sprawek na sumieniu: dwukrotna kradzież samochodów, raz w bójce zranił człowieka. Może to jest właśnie ten trop, którego szuka się od paru dni? Może zaprowadzi nas dalej? Do tamtej kawiarni już nie wracałem...

— I dobrze zrobiłeś. Poproszę sędziego śledczego o odpowiedni mandat, a ty pojedziesz do centrali telefonicznej i niech sprawdzą, z kim rozmawiał wczoraj wieczorem Rere Lussac. Nie zrobią nic bez zlecenia na piśmie.

Gdy inspektor Nicolas wyszedł, komisarz Maigret połączył się telefonicznie ze szpitalem Beaujon. Nie bez trudu udało mu się przywołać do aparatu inspektora dyżurującego pod drzwiami separatki Josepha Raison.

— No, co tam u ciebie?

— Właśnie chciałem zadzwonić do pana, szefie. Posłaliśmy po jego żonę. Przed chwilą przyjechała. Słyszę, że teraz płacze w jego pokoju. Chwileczkę. Widzę, że przełożona pielęgniarek wychodzi stamtąd. Może pan zaczeka przy aparacie.

Do uszu Maigreta dochodziły przytłumione odgłosy z korytarza szpitalnego.

— Halo! Jest tak, jak przypuszczałem. Umarł przed chwilą.

— I nic nie powiedział?

— Nawet nie odzyskał przytomności. Żona rzuciła się na podłogę obok łóżka i spazmuje.

— Zauważyła cię?

— W tym stanie, w jakim jest, na pewno nie zwraca uwagi na nic ani na nikogo.

— Przyjechała taksówką?

— Nie wiem.

— Zejdź na dół i czekaj przy głównym wejściu. Poobserwuj ją na wszelki wypadek. Może będzie chciała nawiązać z kimś kontakt, osobiście lub telefonicznie.

— Rozumiem, szefie.

Może tą drogą, przez ustalenie numeru telefonu, będzie można wpaść nareszcie na ślad Fernanda. Załóżmy, że zaszył się gdzieś na wsi, niedaleko Paryża, może w którymś z tych małych hotelików, utrzymywanych przez ex–prostytki lub dawnych włóczęgów. Byłoby to całkiem logiczne przypuszczenie.

Gdyby informacja z centrali telefonów nic nie dała, można by jeszcze dokonać objazdu tych małych miejscowości podparyskich — ale trwałoby to długo i byłoby dość żmudne, zwłaszcza że Fernand jest z pewnością na tyle sprytny, żeby często zmieniać „metę”, może nawet i co noc.

Maigret zatelefonował do sędziego śledczego zajmującego się sprawą napadu przy ulicy La Fayette, poinformował go o tym, czego się dowiedział, zobowiązał się sporządzić raport na piśmie i przysłać go sędziemu niezwłocznie, jeszcze przed jego rozmową z prokuratorem.

Przekazał mu również wiadomość, iż samochód, który służył napastnikom podczas akcji na ulicy La Fayette, został odnaleziony w pobliżu Porte d'Italie. Jak można było się tego spodziewać, wóz był kradziony i nie znaleziono w nim nic, co mogłoby naprowadzić na jakieś ślady sprawców, brakowało nawet jakichkolwiek odcisków palców.

Maigret był zatopiony w pracy; redagował właśnie raport, gdy wtem zapukał do drzwi jego gabinetu stary woźny sądowy Joseph z wiadomością, że dyrektor generalny Pałacu Sprawiedliwości prosi go do swego gabinetu. W pierwszej chwili Maigret myślał, że chodzi o sprawę zabójstwa Cuendeta, że jego zwierzchnik dowiedział się jakimś, cudem o podjętych przez niego na własną rękę krokach, liczył się, że usłyszy parę niemiłych słów za to, że wtyka nos w nie swoje sprawy.

Okazało się, że chodziło o coś całkiem nowego: przed trzema dniami wyszła z domu i nie wróciła córka pewnego dygnitarza. Siedemnastoletnia dziewczyna uczęszczała potajemnie na kursy sztuki dramatycznej i statystowała w filmach, które dotychczas jeszcze nie były wyświetlane.

— Rodzice chcieliby uniknąć sensacji, życzą sobie, żeby prasa się o tym nie dowiedziała. Wygląda na to, że ta mała uciekła z domu, zdarza się w najlepszych rodzinach...

Maigret przekazał sprawę odszukania zaginionej panienki inspektorowi Lapointe, a sam wrócił do gabinetu, do przerwanej pracy.

O piątej skończył, wstał od biurka i przeszedł do Wydziału Informacji Ogólnych. Panowała tu cisza i spokój; nie było takiej bieganiny, takiego nerwowego ruchu, tłoku na korytarzach. Drzwi do gabinetu — szefa Wydziału Informacji Daneta były zaopatrzone w zamek tak skomplikowany, jak przy sejfie, a regały w jego pokoju wypełnione od góry do dołu aktami personalnymi w zielonych „koszulkach”.

— Może mi pan powiedzieć — zapytał Maigret — czy znane jest panu nazwisko „Wilton”?

— A dlaczego pan pyta?

— Sprawa nie całkiem jeszcze wyjaśniona. Chciałbym dowiedzieć się szczegółów o tym człowieku.

— Wplątany w jakąś przykrą historię?

— Nie sądzę.

— Pan ma na myśli Stuarta Wiltona?

— Tak.

A więc Danet znał tego człowieka — podobnie jak znał wszystkich znaczniejszych cudzoziemców zamieszkałych w Paryżu na stałe lub przez dłuższy czas. Może nawet wśród tych zielonych teczek znajdowało się również i *dossier* Wiltona, lecz Danet nie uczynił żadnego gestu, ażeby po nie sięgnąć.

— To gruba ryba.

— Wiem. Bardzo bogaty, jak mi mówiono.

— Bardzo bogaty, zgadza się, i wielki przyjaciel Francji. Mieszka tu przez większą część roku. Właśnie Francję sobie wybrał.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że podoba mu się życie w Paryżu...

— A po drugie?

— Dlatego, że czuje się tutaj swobodniejszy niż po drugiej stronie kanału La Manche. Przyznam, że intryguje mnie, dlaczego pan o niego pyta. Nie mogę się dopatrzeć żadnego punktu styczności między osobą Stuarta Wiltona a pańskim zakresem działania.

— Jeszcze go nie ma.

- Może pan się nim interesuje z powodu jakiejś kobiety?
- Interesuję się tylko... hm, pośrednio. Owszem, jest pewna kobieta, która...
- Która co?
- Był kilka razy żonaty, prawda?
- Trzykrotnie. I któregoś dnia ożeni się pewno znowu, chociaż ma już siódmy krzyżyk.
- Kobięciarz?
- Niewątpliwie.

Danet odpowiadał lakonicznie, jakby miał Maigretowi za złe, że miesza się do spraw środowiska, którym jedynie on miał prawo się zajmować.

- Ten człowiek obraca się tylko w najelegantszych aferach towarzyskich?

— Oczywiście.

- W jakich stosunkach jest za swoją ex-żoną?

— Z którą?

— Z tą, która była girlsą. O ile mi wiadomo, ma na imię Florence.

— Z Florence jest w jak najlepszych przyjacielskich stosunkach, tak samo zresztą jak ze swoimi wszystkimi byłymi żonami. Pierwsza to Angielka, córka bogatego właściciela browaru, ma z nią syna. Wyszła drugi raz za męża i mieszka obecnie na Wyspach Bahama.

— A druga?

— Druga to była młodziutka aktorka. Z nią nie miał dziecka. Żył z nią dwa czy trzy lata, a po rozwodzie zostawił jej do dyspozycji willę na Riwierze, w której ona po dziś dzień spokojnie mieszka.

— A tej trzeciej, Florence — uzupełnił Maigret — podarował pałacyk.

Danet zmarszczył brwi, zaniepokojony.

— A więc to ona pana interesuje?

— Możliwe. Nie wiem jeszcze.

— Do tej pory nie zwróciła na siebie niczyjej uwagi. Ale i ja nie zajmowałem się osobą Wiltona pod kątem jego ewentualnych występów. To, co wiem o Florence Wilton, to tylko luźne uwagi, plotki, jakie opowiada się w światowych kręgach Paryża.

— Więcej nic pan o niej nie wie?

— Mieszka w nowo odrestaurowanym budynku — istotnie, można by go nazwać pałacykiem, stanowiącym własność jej ex-męża...

— Przy ulicy Neuve-Saint-Pierre...

— Adres się zgadza. Nie jestem pewien, czy ten pałacyk należy teraz wyłącznie do niej. Jak już panu mówiłem, Wilton pozostaje zawsze w przyjacielskich stosunkach ze swoimi byłymi żonami. Zostawia im biżuterię, futra, ale wątpię, żeby był aż tak *large*, żeby przepisywać na nazwisko ex-żony pałacyk, o którym pan mówi.

— A co robi jego syn?

— I on także spędza część roku w Paryżu, ale przebywa tu krócej niż ojciec. Uprawia sporty, wyjeżdża na narty do Szwajcarii, do Austrii, bierze udział w wyścigach samochodowych, w regatach wioślarskich — w Anglii, na Lazurowym Wybrzeżu — gra w polo...

— A więc nie ma żadnego określonego zawodu?

— Nie musi pracować. Jest wystarczająco zamożny.

— Żonaty?

— Był, przez rok, z piękną modelką. Obecnie rozwiedziony. Ale dość tych indagacji, Maigret! Nie wiem, do czego pan zmierza ani co pana naprawdę interesuje. Mam wrażenie, że pan prowadzi ze mną jakąś grę — kto kogo przechytry. Proszę tylko o jedno: niech pan lojalnie nie podejmuje żadnych kroków bez uprzedniego porozumienia się ze raną. Mówiąc, że Stuart Wilton jest wielkim przyjacielem Francji, chciałem to podkreślić ze szczególnym naciskiem. Nie bez powodu został odznaczony Legią Honorową. Posiada wielki majątek, a

pieniądze trzyma i wydaje u nas, we Francji. Słowem, należy do ludzi, z którymi trzeba się liczyć. Jego życie prywatne nic nas nie obchodzi, chyba żeby dopuścił się jakiego wykroczenia — czego absolutnie w jego sytuacji nie przewiduję. Jeśli mam być szczery, nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że on cierpi na jakieś obsesje, zboczenie nawet — z gatunku erotomanii. Ale to mnie nic nie obchodzi i wcale nie chciałbym o tym wiedzieć.

— A czy o jego synu mógłby mi pan powiedzieć coś więcej?

— Tyle tylko, że w swoim czasie jego rozwód stał się głośną sprawą, może i pan coś o tym słyszał. Nie? Otóż ta piękna modelka, Lida, o ile się nie mylę, Węgierka, z którą ożenił się Wilton — junior, miała nie najlepszą reputację... Stuart Wilton nie akceptował jego wyboru. Mimo to syn ożenił się wbrew woli ojca, a po pewnym czasie przekonał się, że żona zdradza go z jego własnym ojcem. Jednakże do skandalu nie doszło. W tych sferach takim sprawom nie nadaje się rozgłosu, załatwia się je dyskretnie, jak przystoi ludziom dystyngowanym. Tyle tylko, że Wilton–junior szybko przeprowadził rozwód.

— A co się dzieje obecnie z tą Lidą?

— To wszystko miało miejsce przed trzema laty. Ich fotografie ukazywały się w różnych gazetach, jako że później ta dama przechodziła z rąk do rąk. Widywano ją zawsze u boku wielkich panów, czasem dyplomatów, których głos miał znaczenie na forum międzynarodowym. Ostatnio, o ile się nie mylę, żyje z jakimś włoskim księciem, mieszkają w Rzymie. Tego chciał się pan dowiedzieć?

— Sam nie wiem, czego chciałem się dowiedzieć.

Tak było naprawdę. Przez chwilę Maigret miał ochotę zagrać w otwarte karty, opowiedzieć wszystko Danetowi jako koledze z innego wydziału, ale uświadomił sobie, że każdy z nich widzi tę samą rzecz inaczej. I każdy z nich obraca się w innych kręgach towarzyskich. Po to, żeby zdobyć niektóre informacje, wystarczy, żeby komisarz Danet udał się do znajomych na herbatkę o piątej po południu, natomiast komisarz Maigret musi dla swoich celów siadać przy stoliku nakrytym papierowym obrusem, w licej knajpce, do której przychodzą na swój skromny posiłek robotnicy.

— Jeszcze jedno, już ostatnie, pytanie: czy Stuart Wilton jest aktualnie w Paryżu?

— O ile nie bawi na Riwerze. Mogę to sprawdzić. Lepiej będzie, jeżeli poinformuję się ja sam, nie pan, Maigret!

— A Wilton — junior?

— Jeśli jest w Paryżu, to zawsze zatrzymuje się w hotelu „Georges V” na Champs–Elysées.

— Dziękuję panu, Danet!

— Niech pan pamięta: proszę być ostrożnymi

— Przyrzekam!

Oczywiście komisarz Maigret nie miał zamiaru wybierać się osobiście do Stuarta Wiltona i zadawać mu kłopotliwych pytań. Ale w hotelu „Georges V” odpowiedzą mu uprzejmie — choć niezbyt wyczerpująco.

Sędzia śledczy Cajou wiedział, co robi, podając prasie informację, iż morderstwo w Lasku Bulońskim należy, zapisać na karb porachunków osobistych wśród mętów społecznych. Zainteresowanie taką zbrodnią przygasa, nie ma w niej bowiem nic sensacyjnego, nic takiego, co mogłoby rozpałcić ciekawość ludzką.

Stopień zemocjonowania publiczności zależy od tego, kim była ofiara, od sposobu, w jaki została pozbawiona życia, a także od miejsca, gdzie nastąpiła zbrodnia.

Gdyby Cuendet został zabity na przykład w którymś z kabaretów na Champs–Elysées, ukazałaby się wiadomość na pierwszej kolumnie gazety, pod wytłuszczonym nagłówkiem. Ale taki wypadek, jak znalezienie w Lasku Bulońskim zwłok nikomu nie znanego człowieka, nie był niczym nadzwyczajnym, i wzmianka o nim nie miała w sobie nic takiego, co mogłoby zwrócić uwagę ludzi czytających gazety w metro.

Kryminalista, recydywista, który nie popełnił żadnego sensacyjnego przestępstwa, którego trupa równie dobrze można byłoby wyłowić z Sekwany i skwitować to wydarzenie wydrukowaną petitement wzmianką w rubryce „Wypadki i kradzieże”, pozostawał kimś anonimowym, nie wartym zapamiętania.

A przecież to on, właśnie Cuendet, tak bardzo zainteresował Maigreta, bardziej niż Fernand i jego banda, i dlatego z taką energią komisarz zabrał się do wyświatlenia tej sprawy na własną rękę, nie mając ku temu oficjalnego tytułu.

W związku z napadem na ulicy La Fayette postawiono całą policję na nogi. W sprawie Cuendeta biedny inspektor Fumel, nie mając do dyspozycji ani samochodu, ani nawet pewności, że otrzyma zwrot za taksówkę, skazany był na poszukiwanie sprawcy morderstwa sam jeden.

Będzie musiał udać się na ulicę Mouffetard, przeprowadzić rewizję w mieszkaniu starej Justyny, zadając jej różne pytania, na które będzie odpowiadała po swojemu, na pewno wykrętnie.

Na wszelki wypadek Maigret zatelefonował raz jeszcze do prosektorium, ale zamiast zwrócić się do doktora Lamalle lub do któregoś z jego asystentów, wolał porozmawiać z jednym z pracowników laboratorium, którego znał od dłuższego czasu i który nieraz wyświadczał mu drobne przysługi z dziedziny dyskretnych informacji.

— Niech mi pan powie, François, czy był pan obecny przy sekcji zwłok Honoré Cuendeta, człowieka, którego znaleziono w Lasku Bulońskim?

— Owszem, byłem. Nie przysłali panu jeszcze raportu, panie komisarzu?

— To nie ja prowadzę śledztwo. Chciałbym jednak znać wyniki autopsji.

— Rozumiem. Doktor Lamalle utrzymuje, że facet zainkasował co najmniej dziesięć uderzeń w głowę. Pierwszy cios został zadany z tyłu, w potylicę, z taką siłą, że podstawa czaszki została zmiażdżona i śmierć nastąpiła momentalnie. A doktor Lamalle wie, co mówi. Bogiem a prawdą, nie jest to taki anatomopatolog, jakim był nieboszczyk nasz doktor Paul, ale i na jego zdaniu można polegać.

— A następne ciosy?

— Zadano wówczas, kiedy już nie żył. Głowa i twarz doszczętnie zmasakrowane.

— Jakim narzędziem zostały zadane te uderzenia?

— Dłuższy czas trwała na ten temat dyskusja. W końcu lekarze zgodzili się co do jednego: w robocie nie był ani nóż, ani łom, ani kastet, ani klucz francuski, to znaczy żadne z narzędzi zbrodni spotykanych najczęściej w podobnych przypadkach. Tym razem musiał to być przedmiot ciężki, masywny, o ostrych krawędziach. — Może jakiś posążek?

— Taką możliwość uwzględnili, jako jedną z wielu, w raporcie.

— A czy udało się określić choćby w przybliżeniu, o której godzinie nastąpił zgon?

— Prawdopodobnie około drugiej w nocy. Między wpół do drugiej a trzecią, ale raczej bliżej drugiej.

— Silnie krwawił?

— Nie tylko powinny były zostać ślady krwi, ale i mózg musiał być rozprysnięty. Kawalki były jeszcze przylepione do włosów.

— Badano treść żołądka?

— Wie pan, co znaleźli? Resztki nie strawionej czekolady. I trochę alkoholu, niewiele, dopiero zaczynał przesączać się do krwi.

— Dziękuję panu, François. Niech pan lepiej nie wspomina nikomu o naszej rozmowie, dobrze?

— Dla mnie tak też będzie zdrowiej.

W pół godziny później do Maigreta zadzwonił Fumel.

— Byłem u tej starej, szefie, i pojechałem z nią do prosektorium. Rozpoznała go, to na pewno jej syn.



— Jak się zachowywała?

— Była znacznie spokojniejsza, niż się spodziewałem. Zaproponowałem jej, że odwiozę ją do domu, ale odmówiła i poszła sama w kierunku metra.

— Przetrzęsnałeś jej mieszkanie?

— Nie znalazłem nic prócz książek i tygodników.

— Żadnych fotografii?

— Kiepskie zdjęcia męża, w mundurze żołnierza szwajcarskiego, i powiększony portret Honorého, kiedy był mały.

— Żadnych listów, notatek? Przeglądałeś książki?

— Żadnych. Ten człowiek nie pisywał ani nie dostawał listów. Ani on, ani tym bardziej jego matka.

— Jest pewien trop, którym mógłbyś iść, pod warunkiem zachowania maksymalnej ostrożności. Niejaki Stuart Wilton mieszka przy ulicy Longchamp, ma tam dom, nie wiem tylko, pod którym numerem, ale myślę, że odzyskasz bez trudu. Jest właścicielem rolls royce'a i ma szofera. Zapewne zostawia od czasu do czasu wóz przed domem albo trzyma go w garażu, w pobliżu domu. Postaraj się zajrzeć do auta i sprawdzić, czy nie leży tam futrzana burka. Taka dziwna burka z futra, ciemnoszarego, może być pręgowane. Jak sierść kota.

— I co jeszcze, szefie?

— Syn, Wilton — junior, zatrzymuje się zawsze w hotelu „Georges V”, na Champs–Elysées. I też ma swój własny samochód.

— Rozumiem.

— To jeszcze nie wszystko. Warto by zdobyć zdjęcia jednego i drugiego.

— Znam fotografa ulicznego, który pracuje właśnie na Champs–Elysées.

— Powodzenia!

Następną godzinę spędził Maigret u siebie w gabinecie, podpisując różne papiery, a gdy wyszedł z biura, zamiast wsiąść jak zwykle do autobusu jadącego w stronę jego domu, skierował się do dzielnicy Saint–Paul.

Nadal było bardzo zimno i ponuro, jak to bywa w styczniu, latarnie miejskie rzucały światło bardziej przymgłone, a sylwetki ludzkie rysowały się ciemniej niż zazwyczaj, tak jakby wczesny mrok paryski pozamazywał półcienie.

W chwili kiedy Maigret skręcał w ulicę Saint–Paul, dobiegł go zza rogu kobiecy głos:

— No i co, panie komisarzu?

Była to Olga, skromnie ubrana, w lichym futerku imitującym czarne foki. Maigret postanowił skorzystać z okazji i zapytać ją o coś, o co miał zamiar poinformować się gdzie indziej. Spadła mu jak z nieba — była osobą najbardziej powołaną do tego, by mu udzielić odpowiedzi na pytania, które go interesowały.

— Powiedz mi, moje dziecko: jeśli masz ochotę napić się czegoś gorącego lub tylko rozgrzać się w nocy, dokąd idziesz? Jaki lokal w tej dzielnicy jest otwarty po północy?

— „U Leona”.

— To bar?

— Tak. Na ulicy Saint–Antoine, na wprost metra.

— Spotkałaś tam kiedy tego swego sąsiada?

— Szwajcara? Nie, w nocy nigdy. Owszem, widziałam go tam parę razy, ale tylko po południu.

— Pił?

— Tylko białe wino.

— Dziękuję!

Teraz ona z kolei rzuciła mu na pożegnanie, przytupując w miejscu dla rozgrzewki:

— Powodzenia!

Z fotografią Cuendeta w kieszeni Maigret wszedł do zadymionego baru i stojąc przy ladzie zamówił kieliszek koniaku.

— Zna pan tego faceta?

Właściciel lokalu wytarł ręce o fartuch, zanim ujął w dwa palce fotografię i przyjrzał jej się z bliska.

— Ale co on takiego zrobił? — zapytał z głupia frant.

— Nie żyje.

— Co, powiesił się? Samobójstwo?

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Sam nie wiem. Tak jakoś pomyślałem. Widziałem go ze trzy, cztery razy... Nieczęsto tu przychodził. Mruk, z niskim nigdy nie rozmawiał. Ostatnim razem...

— Kiedy to było?

— Nie powiem dokładnie. Może w czwartek, może [w piątek... a może w sobotę... Zawsze wpadał tylko po południu na chwilę, wypijał szklaneczkę wina przy ladzie, tak jakby go suszyło, i zaraz odchodził.

— Jedną szklaneczkę?

— Czasem dwie... Ale nigdy więcej... Nie, nie był z niego pijaczyna. Na takich poznaje się od razu, na pierwszy rzut oka...

— O której godzinie był tu ostatnim razem? Po południu? Czy wieczorem?

— Późnym wieczorem, może nawet w nocy... Chwileczkę. Moja żona poszła już na górę, położyć się... Musiało być dobrze po północy, może wpół do pierwszej, może ; pierwsza...

— Jak to się stało, że pan tak dobrze pamięta?

— Przede wszystkim dlatego, że w nocy przychodzą tu tylko stali goście... No, zdarzy się, że czasem wpadnie szofer taksówki rozejrzeć się, czy nie znajdzie dla siebie klientów... Albo policjant wstąpi ukradkiem na jednego... Przychodziła także jedna parka, pamiętam dobrze, zajmowali zawsze o, tamten stolik w kącie. A poza tym... na sali pustki. Ja stoję zawsze za ladą, muszę pilnować ekspresu do kawy... Wtedy nie słyszałem nawet, jak wszedł. Odwracam się — a on stoi przy kontuarze, łokcie oparte na ladzie... Zdziwiłem się trochę.

— I dlatego pan to tak dobrze pamięta?

— A i dlatego jeszcze, że pytał, czy mam wiśniówkę, ale taką prawdziwą wiśniówkę, wytrawną... Mało kto zamawia wytrawną wiśniówkę... Wyciągnąłem butelkę z drugiej półki o, stamtąd właśnie, z etykietką po niemiecku: „Kirsch”. Spodobała mu się chyba, bo powiedział: „To będzie dobre!” Potrzymał chwilę kieliszek w ręku, żeby się rozgrzał, i pił powolutku, co rusz zerkając na zegar. Widziałem, że się waha, czy pozwolić sobie na drugi kieliszek, ale kiedy podsunąłem mu butelkę, nie odmówił. Widać było, że pije nie dlatego, że jest spragniony alkoholu, tylko dlatego, że ma chętkę właśnie na wiśniówkę.

— I nie rozmawiał z nikim?

— Tylko ze mną.

— A ci goście, co siedzieli w kącie, nie zwracali na niego uwagi?

— To zakochani. Znam ich dobrze. Przychodzą tu dwa razy w tygodniu, szepczą do siebie, patrzą sobie w oczy całymi godzinami...

— Wyszli może zaraz po nim?

— Na pewno nie.

— Nie zauważył pan, czy ktoś nie czekał na niego pod barem? A może ktoś go śledził?

Właściciel baru wzruszył ramionami, jakby poczuł się osobiście obrażony.

— Od piętnastu lat siedzę w tej dziurze i czegoś takiego...

Musiało to znaczyć, że gdyby zdarzyło się coś niezwykłego, już on by na pewno zauważył.

Po wyjściu z baru Maigret udał się do hotelu „Lambert”. Tym razem w łożu portiera siedziała szefowa. Była młodsza i bardziej apetyczna, niż komisarz mógłby przypuszczać widząc jej męża.

— Pan przychodzi w sprawie numeru 33, prawda? Ten pan jest na górze.

Maigret musiał przyłgnąć do ściany, żeby przepuścić parkę schodzącą ze schodów. Kobieta rozsiewała zapach mocnych perfum, a mężczyzna odwrócił głowę, zażenowany.

Pokój Nr 33 tonął w mroku. Inspektor Baron siedział w fotelu przysuniętym do okna. Musiał chyba wypalić całą paczkę papierosów, gdyż w pokoju było czarno od dymu.

— Jest co nowego?

— Ta dama wyszła pół godziny temu. Przedtem była tu jakaś dziewczyna, z dużym tekturowym pudłem, może szwaczka, może krawcowa, nie wiem sam. Poszły obie do sypialni i widziałem tylko cienie na firance, najpierw ruchome, potem nieruchome, tak jakby jedna stała, a druga klęczała, może przymierzała suknię.

Na parterze świeciło się tylko w hallu, schody były oświetlone aż do drugiego piętra, w salonie na lewo były zapalone dwa kinkiety i niewielki żyrandol u góry pod sufitem. W znajdującym się na prawo od wejścia buduarze sprzątała pokojówka w czarnej sukience, w białym fartuszk i koronkowym czepeczku na głowie.

— Okna jadalni i kuchni wychodzą na tyły. Obserwując tych ludzi zadaję sobie mimo woli pytanie: co też oni robią przez cały dzień? Naliczyłem co najmniej troje służby, ; trzy osoby, które kręcą się po domu, a nie wiadomo, czym się zajmują. Nikt tu nie przychodzi, jeśli nie liczyć tej krawcowej. Dziewczyna z tekturowym pudłem przyjechała taksówką, a wracała pieszo, już bez kartonu. Chłopiec ze sklepu przynosił jakieś paczki, a większe zakupy przywozi dostawca półciężarówką. Wszystkie paczki, mniejsze i większe, odbiera lokaj w sieni, nawet do hallu nie wpuszcza nikogo. — Mam tu siedzieć do rana?

— Głodny jesteś?

— Trochę, ale wytrzymam do śniadania.

— Idź już.

— Nikt mnie nie zluzuje?

Maigret wzruszył ramionami.

— Możesz iść — rzekł.

Zamknął drzwi na klucz, który wsunął do kieszeni. Zszedł na dół i zapowiedział właścicielce hotelu:

— Proszę nie wynajmować numeru 33, dopóki ja go nie zwolnię. I nikomu tam wchodzić nie wolno — ani pokojówce, ani pani, ani mężowi, dobrze?

Będąc już na ulicy, zauważył z daleka Olgę idącą pod rękę z jakimś mężczyzną. Uśmiechnął się życzliwie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zasiadając do stołu nie wiedział, że nagły telefon wyrwie go z przytulnej atmosfery domu, ani że dziesiątki ludzi, którzy w tym momencie projektują sobie najbliższy wieczór, spędzą tę noc inaczej, niż przewidywali, i że wszystkie okna na Quai des Orfèvres będą oświetlone aż do rana, tak jak to bywa w nocie wielkiego alarmu.

A ten obiad był taki przyjemny, w nastroju tak intymnym, pełnym subtelnego zrozumienia między nim a żoną. Opowiedział jej o wyśmienitych przysmażanych kielbaskach, które jadł o dwunastej w małej restauracyjce przy ulicy Saint-Antoine. Bywali często razem w takich małych lokalikach, niegdyś bardzo licznych. Typowe dla Paryża, znajdowały się na każdej prawie ulicy i nazywano je „szoferskimi knajpkami”.

Mimo tej skromnej nazwy jedzenie tam było znakomite — głównie dzięki temu, że restauratorzy pochodzili z prowincji: z Owernii, z Bretanii, z Normandii, z Bourgundii i nie tylko zachowali tradycje swoich kuchni, ale [podtrzymując kontakty ze swoimi wioskami ojczystymi [sprowadzali stamtąd szynki, kielbasy, a czasami nawet i chleb wiejski...

Przypomniał mu się Cuendet i jego matka: ci dwoje przywieźli na ludną i rojną ulicę Mouffetard śpiewny akcent swego kraju i swojej wioski w kantonie Vaud, wraz z charakterystycznym dla Szwajcarów spokojem, nieruchawością i powolnością.

— Nie wiesz, co się dzieje z tą starą Justyną?

Pani Maigret zdawała się odczytywać jego myśli.

— Zapominasz, że oficjalnie zajmuję się tylko tym napadem rabunkowym na ulicy La Fayette, niczym więcej. Napady rabunkowe to sprawa poważna, zagrażają przecież bankom, towarzystwom ubezpieczeniowym, wielkim przedsiębiorstwom. Gangsterzy idą z duchem czasu szybciej niż my.

Powiedział to z lekkim rozgoryczeniem. Przypomniało mu się, że jeszcze tylko dwa lata — i będzie musiał przejść na emeryturę. Świat się zmienia, Paryż się zmienia, wszystko się zmienia; ludzie i metody też. Czyż i on po jakimś czasie, nawet jeszcze przed pójściem na emeryturę wiszącą nad nim jak miecz Damoklesa, nie będzie czuł się zagubiony w tym świecie, którego nie będzie już rozumiał?

— Dziwny człowiek — mówił na pół do siebie, na pół do żony. — Nic nie wskazywało na to, że spotka go taki los, a jego matka nie wydawała się wcale zaniepokojona, gdy ją spytałem, z czego będzie żyła; wymamrotała tylko. „Jestem pewna, że on nie zostawi mnie bez niczego...” — i koniec.

Jeżeli jest taka pewna, że syn ją zabezpieczył, to jak on to załatwił? Co wykombinował? Jaki wymyślił sposób?

W chwili gdy Maigret był już przy deserze, zadzwonił telefon.

— Może ja przyjmę? — zaproponowała żona.

Ale Maigret zerwał się od stołu, z serwetką w rękę. Dzwonił Janvier, z Quai des Orfèvres.

— Dość ważna wiadomość, szefie. Telefonował przed chwilą inspektor Nicolas. Ustalono, z kim przeprowadził rozmowę telefoniczną René Lussac z kawiarni „U przyjaciół”.

— Z kim?

— Z kimś, kogo pan zna, panie komisarzu. Z Rozalią Bourdon.

— Z „Piękną Rozalią”?

— Tak. Mieszka obecnie w Corbeil, nad Sekwaną, we własnej willi.

— Co dalej?

— Porozumiałem się z brygadą policji w Corbeil. Rozalia Bourdon jest obecnie w domu.

Rozalia Bourdon... Jeszcze jedna z tych, które spędzały całe godziny na Quai des Orfèvres. Choć już dobrze po czterdziestce, może nawet bliżej pięćdziesiątki, wciąż jeszcze

była apetyczna, pulchna, różowa, a języka używała tak samo soczystego i barwnego jak dawniej...

Kariere rozpoczęła bardzo młodo, jako dziewczyna lekkich obyczajów. Grasowała wówczas w okolicach Place des Ternes; mając lat dwadzieścia pięć sama już prowadziła dom schadzek, w którym bywali najwytworniejsi panowie Paryża.

Później założyła — przy ulicy Notre-Dame-de-Lorette — kabaret nocny, o nazwie dość szczególnej: „Szpicruta”.

Ostatnim kochankiem Rozalii, wielką miłością jej życia, był niejaki Pierre Sabatini, Korsykańczyk, notoryczny bandyta, skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót za to, że w barze przy ulicy des Douai zabił w bójce dwóch ludzi z konkurencyjnego gangu Marsylczyków.

Sabatini miał jeszcze parę lat do odsiedzenia w więzieniu Saint-Martin-de-Ré. W czasie jego procesu Rozalia zachowywała się wzruszająco, a gdy zapadł wyrok, poruszyła niebo i ziemię, żeby uzyskać zezwolenie na zawarcie ślubu z kochankiem.

W swoim czasie była to głośna sprawa, cała prasa o niej pisała. Rozalia twierdziła, że jest w ciąży. Niektórzy utrzymywali, że postanowiła mieć dziecko z pierwszym lepszym, byleby zdobyć możliwość poślubienia ukochanego.

A gdy przyszła odmowa z ministerstwa, Rozalia przestała powoływać się na przyszłe macierzyństwo, przycichła, zamieszkała na stałe w Corbeil, skąd wysyłała regularnie listy i paczki do więzienia w Saint-Martin-de-Ré. Co miesiąc wyjeżdżała na leżącą na Atlantyku wyspę Ré, gdzie nie spuszczano jej z oka, w obawie, iż będzie próbowała ułatwić kochankowi ucieczkę.

A tam właśnie, w Saint-Martin-de-Ré, Pierre Sabatini siedział w tej samej celi co Fernand.

— Poleciałem obserwować willę w Corbeil — podjął Janvier. — Dyżuruje kilku ludzi na zmianę.

— Co jeszcze mówił inspektor Nicolas?

— Kazał powtórzyć panu, że jedzie do kawiarni przy Porte de Versailles. Z tego, co widział wczoraj, wywnioskował, że Lussac spotyka się ze swoimi dwoma kumplami w tym samym lokalu co wieczór. Woli być tam wcześniej, przed nimi, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

— Lucas jest jeszcze w biurze?

— Przed chwilą wrócił.

— Powiedz mu, żeby dziś w nocy miał kilkunastu ludzi pod ręką. Zadzwoń do ciebie za kilka minut.

Połączył się telefonicznie z Prokuraturą. Zastał tylko dyżurnego wiceprokuratora.

— Chciałbym mówić z prokuratorem Dupont d’Hastier.

— Nie ma go obecnie.

— Wiem. Ale muszę porozmawiać z nim w bardzo pilnej sprawie. Chodzi o ostatni napad rabunkowy i niewątpliwe powiązania z tą sprawą osoby Fernanda.

— Postaram się go złapać. Jest pan na Quai?

— Nie, u siebie w domu. Podał swój numer telefonu.

Od tej chwili wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością.

Ledwo Maigret skończył deser, zadzwonił znów telefon. Był to prokurator Dupont d’Hastier.

— Powiedziano mi, że pan aresztował Fernanda. Czy to prawda?

— Jeszcze nie, panie prokuratorze, ale mamy szansę aresztować go jeszcze dziś w nocy.

Poinformował prokuratora pokrótce, jak przedstawia się sytuacja.

— Niech pan przyjedzie do mnie do biura możliwie szybko. Jestem obecnie na kolacji u przyjaciół, ale wyjdę stąd zaraz i jadę do Pałacu. Nawiązał pan kontakt z Corbeil?

Pani Maigret już przygotowała filiżankę bardzo mocnej czarnej kawy, a po chwili wyjęła z kredensu butelkę nalewki morelowej.

— Uważaj, żebyś się nie przeziębził. Myślisz, że będziesz musiał jechać do Corbeil?

— Byłoby dziwne, gdyby mi dali taką szansę.

Nie mylił się. W Pałacu Sprawiedliwości, w jednym z obszernych prokuratorskich gabinetów, zebrali się już wszyscy: nie tylko prokurator Dupont d'Hastier, jeszcze w smokingu, ale i sędzia śledczy Legaille, wraz z plikiem akt dotyczących Fernanda i ostatniego napadu rabunkowego, a także komisarz Buffet, jeden z dawnych kolegów Maigreta, tylko z innego komisariatu, z ulicy des Saussaies.

Buffet był to wysoki, tęgi, barczysty mężczyzna, o rumianej cerze i oczach zawsze jakby zaspanych, co nie przeszkadzało mu uchodzić za policjanta budzącego postrach w świecie przestępczym.

— Niechże pan siada, Maigret, i proszę nam opowiedzieć dokładnie, jak się ta sprawa przedstawia.

Przed wyjściem z domu Maigret odbył jeszcze jedną krótką rozmowę telefoniczną z inspektorem Janvier.

— Czekam najświeższych wiadomości, powinienem mieć je lada chwila. Ale już teraz mogę panów zapewnić, że w willi Rozalii Bourdon w Corbeil przebywa od kilku dni jakiś mężczyzna.

— Widzieli go nasi ludzie? — zapytał Buffet. Miał głos piskliwy jak mała dziewczynka, co było zaskakujące w zestawieniu z jego wzrostem i postawą.

— Jeszcze nie. Mówili im tylko sąsiedzi, że u niej ktoś jest, a rysopis zgadza się prawie całkiem z rysopisem Fernanda.

— Willa jest otoczona?

— W pewnej odległości, żeby nie wywoływać alarmu.

— Jest więcej wyjść niż jedno?

— Może i więcej, ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że wykryto jeszcze inne nici. Jak mówiłem już panu prokuratorowi przez telefon, René Lussac jest przyjacielem Josepha Raison, tego uczestnika napadu, który został śmiertelnie ranny przy ulicy La Fayette. Mieszkali drzwiami w drzwi w tej samej kamienicy, w Fontenay-aux-Roses. Otóż ten Lussac bywa, w towarzystwie co najmniej dwóch kumpli, w kawiarence niedaleko Porte-de-Versaille. Kawiarenka ta nazywa się „U Przyjaciół”. Wczoraj wieczorem grali tam w karty, a o godzinie punkt wpół do dziesiątej Lussac wszedł do kabiny telefonicznej i poprosił o połączenie z Corbeil. Istnieje domniemanie, że ci trzej są w stałym kontakcie ze swoim szefem. Jeżeli i dziś wieczorem spotkali się w tym samym miejscu — a będę miał wiadomość lada chwila, czekam właśnie na telefon — musimy podjąć decyzję natychmiast.

Dawniej decyzję podjąłby Maigret od razu, sam, na własną odpowiedzialność, nie byłoby potrzeby zwoływać „rady wojennej” na terenie Prokuratury. Chyba że chodziłoby o jakąś wielką aferę polityczną.

— Opierając się na zeznaniach jednego ze świadków, sądzę, że w momencie, kiedy został zaatakowany kasjer na ulicy La Fayette, w kawiarni naprzeciwko siedział Fernand i obserwował, co się dzieje. Dwaj napastnicy wskoczyli do samochodu i uciekli, pozostawiając tego jednego unieruchomionego. Zrabowali walizeczkę, w której była duża suma pieniędzy. Mało prawdopodobne, żeby Fernand zdążył zobaczyć się z którymś ze swoich kompanów, zwłaszcza że jeden z nich zmarł w szpitalu na skutek rany postrzałowej.

Jeśli to on ukrywa się u pięknej Rozalii, to znaczy, że zamelinował się u niej jeszcze tego samego dnia, w którym odbył się napad, i że z tej swojej mety daje co wieczór przez telefon instrukcje swoim koleżkom z kawiarenki „U Przyjaciół”.

Buffet słuchał z sennym wyrazem twarzy. Maigret wiedział, że jego kolega po fachu z Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego ocenia tę sprawę podobnie jak on i podobnie jak on

przewiduje wszelkie ewentalności i grożące niebezpieczeństwo. Jeśli Maigret zadawał sobie trud — referowania tej sprawy ze wszystkimi szczegółami, robił to wyłącznie dla informacji panów z Prokuratury.

— Wcześniej czy później któryś ze współników będzie musiał przywieźć Fernandowi całą lub przynajmniej część zrabowanej forsy. Gdybyśmy ich na tym przyłapali, dysponowalibyśmy oczywiście niezbitym dowodem ich winy. Wyczekiwanie nie powinno trwać dłużej niż kilka dni. Tymczasem Fernand może sobie poszukać innej mety i mimo że willa jest otoczona, może nam się wymknąć, prześliznąć między palcami. Z drugiej strony jeśli spotkanie tych trzech gości dojdzie do skutku, podobnie jak wczoraj, możemy zatrzymać wszystkich jednocześnie: ich tu a Fernanda w Corbeil.

Zadzwoił telefon. Sekretarz podał słuchawkę Maigretowi.

— To do pana.

Dzwonił Janvier, który pełnił rolę łącznika.

— Są tu, szefie. Co pan zdecydował?

— Powiem ci za kilka minut. Poślij któregoś z naszych ludzi do Fontenay-aux-Roses. Po przybyciu na miejsce niech do ciebie zatelefonuje.

— Rozumiem.

Maigret odłożył słuchawkę.

— Jaka decyzja, panowie?

— Nie narażać się na ryzyko — wygłosił prokurator. — Czekać, aż będą dowody. A w końcu muszą się znaleźć, prawda?

— Zaangażują najlepszych adwokatów, sami odmówią zeznań i na pewno postarają się o doskonałe alibi.

— Ale jeśli nie aresztujemy ich dziś wieczorem, ryzykujemy, że nie uda nam się zatrzymać ich nigdy.

— Ja biorę na siebie Corbeil — odezwał się Buffet. Maigret nie mógł zaprotestować, nawet gdyby chciał.

Sektor podmiejski nie należał do niego, podlegał służbie Bezpieczeństwa Publicznego. Sędzia śledczy zapytał:

— Myśli pan, że mogą strzelać?

— Jeśli będą mieli okazję, na pewno z niej skorzystają, ale my postaramy się nie dać im tej możliwości.

W kilka minut później Maigret wraz z tęgim, barczystym komisarzem z ulicy des Saussaies znaleźli się w innym świecie, wystarczyło po prostu przekroczyć korytarz dzielący Pałac Sprawiedliwości od Wydziału Śledczego Policji Kryminalnej. Tutaj panował już ożywiony ruch, jak przed wielką bitwą.

— Warto by przed zaatakowaniem willi w Corbeil dowiedzieć się, czy on dziś także telefonował punktualnie o wpół do dziesiątej...

— Słusznie. Lepiej jednak być tam wcześniej, żeby móc wszystko przygotować.

Na ciemnym, zimnym dziedzińcu stał już radiowóz z zapuszczonym silnikiem, a duża ciężarówka pełna była policjantów czekających w ostrym pogotowiu.

Komisarz policji z szesnastki miał być ze swoimi ludźmi w pobliżu Porte-de-Versailles.

W kawiarni „U Przyjaciół” goście rozmawiali o swoich sprawach; niektórzy grali w karty, ale nikt nie zwracał uwagi na niepozornego inspektora Nicolasa zagłębianego w lekturze gazety.

W pewnej chwili inspektor wstał, poszedł do telefonu i zakomunikował lakonicznie:

— W porządku.

Znaczyło to, że ci sami trzej ludzie są tu na miejscu, tak jak wczoraj, a René Lussac co jakiś czas spogląda na zegar, żeby nie spóźnić się z telefonem do Corbeil.

A tam, wokół willi, której dwa okna na parterze były jasno oświetlone, stali rozsiani wśród zarośli obserwatorzy, znieruchomiali nad pokrytymi lodem kałużami.

Centrala telefoniczna, uprzedzona z góry, czekała na zapowiedziane połączenie. Inspektor na podsłuchu miał rejestrować przeprowadzoną rozmowę na taśmie magnetofonowej. O wpół do dziesiątej oznajmił:

— Lussac zadzwonił z kabiny telefonicznej do Corbeil.

— No, jak tam? — zapytał.

Telefon przyjęła Rozalia.

— Dobrze, nic nowego.

— Jules się niecierpliwi.

— A bo co?

— Chciałby wyjechać.

— Poczekaj przy aparacie.

Odłożyła słuchawkę, wróciła po dłuższej chwili.

— On mówi, że trzeba jeszcze poczekać.

— Dlaczego?

— Bo tak trzeba — i koniec!

— Tu już zaczynają nas mieć na oku.

— Zaczekaj jeszcze chwilę.

Znow odłożyła słuchawkę. Po powrocie dodała:

— Do jutra. Jutro na pewno będzie wiadomość.

Buffet zadzwonił do Maigreta z Corbeil.

— No, i co?

— Lussac telefonował do nich. Rozmawiała z nim kobieta. Naradzała się z kimś, kto był w tym samym pokoju. Powiedział, że jakiś Jules, który na pewno należy do ich bandy, zaczyna się niecierpliwić.

— Jedziemy tam?

— Kwadrans po dziesiątej.

Należało zorganizować obie akcje tak, by wypadły jednocześnie, i nie dopuścić do tego, aby któryś z ptaszków, gdyby jakimś cudem udało mu się wymknąć, zaalarmował Corbeil.

Maigret udzielał ostatnich instrukcji inspektorowi Janvierowi.

— Gdyby zatelefonował ktoś z Fontenay-aux-Roses, trzeba będzie natychmiast zatrzymać żonę Lussaca, z nakazem aresztowania czy bez, i sprowadzić ją tutaj.

— A co z żoną Raisona?

— Na razie nic. Jej nie ruszać.

Maigret wsiadł do radiowozu, który natychmiast ruszył.

Nieliczni przechodnie na Avenue de Versailles dziwili się widząc tak ożywiony ruch na ulicy zwykle bardzo spokojnej. Jacyś ludzie snuli się pod domami rozmawiając między sobą półgłosem, inni zjawiali się i znikali w ciemnościach, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Maigret pozostawał w stałym kontakcie z komisarzem policji z szesnastki i wspólnie z nim omawiał dalsze kroki. I tym razem także wchodziły w grę dwie metody do wyboru. Pierwsza polegała na tym, żeby czekać na moment, kiedy wszyscy trzej gracze — których obserwowano z daleka przez szyby kawiarni — wyjdą i wsiądą do swoich samochodów stojących w pobliżu, tak samo jak wczoraj. Byłoby to rozwiązanie najprostsze, ale i najbardziej ryzykowne. Gdy ci ludzie bowiem znajdą się na zewnątrz, zyskają swobodę ruchów, a co za tym idzie, mogą zacząć strzelać. Korzystając z zamieszania któryś z nich może wskoczyć do auta, dać gazu i zwiać.

— Czy jest jakieś drugie wyjście z tego lokalu?



— Drugie drzwi prowadzą na podwórko otoczone wysokim murem, który trudno byłoby przeskoczyć.

Zaaranżowanie zasadzki trwałoby nie dłużej niż kwadrans i goście kawiarenki „U Przyjaciół” nie zdążyliby niczego zauważyć.

Policjanci w cywilu, mogący uchodzić za lokatorów kamienicy, ukryją się na podwórku. Trzech innych, z miną amatorów dobrego wina, wejdzie do kawiarni i usiądzie przy stoliku w pobliżu grających w karty.

Maigret co chwila spoglądał na zegarek, niby szef sztabu generalnego.

O godzinie dziesiątej minut czternaście wszedł do kawiarenki „U Przyjaciół”; był w ciemnym płaszczu i w ciepłym wełnianym szaliku na szyi. Prawą rękę trzymał w kieszeni płaszcza.

Do przejścia miał nie więcej niż dwa metry. Grający nawet nie zdążyli podnieść się od stolika. Stał przy nich i rzekł półgłosem:

— Nie ruszać się. Ręce trzymać na stole. Jesteście otoczeni.

W chwilę później do Maigreta podszedł inspektor Nicolas,

— Nałóż im kajdanki. Wszystkim trzem.

Jeden z graczy zerwał się błyskawicznie, przewracając stół. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Ale dwaj inspektorzy zatrzymali go przy wyjściu.

Maigret zwrócił się do pozostałych gości na sali:

— Proszę się niczego nie obawiać i zachować spokój! To zwykła akcja policyjna.

W kwadrans później wszyscy trzej znaleźli się w budzie policyjnej i zostali przewiezieni na Quai des Orfèvres.

Zgłosiło się Corbeil. W słuchawce zabrzmiał piskliwy głos grubego Buffeta.

— Maigret? Już po wszystkim.

— Bez kłopotów?

— Niezupełnie. Doszło do strzelaniny. Jeden z moich ludzi oberwał w ramię.

— A kobieta?

— Rzuciła się na mnie z pazurami. Całą twarz mam poraną. Przyjeżdżam z nimi za kwadrans.

Telefon nie przestawał dzwonić.

— Tak jest, panie prokuratorze. Mamy w ręku już wszystkich. Nie, nie przesłuchiwałem jeszcze nikogo. Ulokowałem każdego osobno i czekam na tych dwoje z Corbeil, których ma mi przywieźć Buffet.

— Radzę zachować ostrożność. Pamiętajmy, że oni będą nam zarzucali, iż policja zachowywała się wobec nich brutalnie.

— Słusznie, panie prokuratorze...

Maigret nie miał zamiaru przesłuchiwać ich od razu. Niech tymczasem skruszeją. Cekał na żonę Lussaca.

Przywieziono ją dopiero o jedenastej wieczorem, gdyż inspektor zastał ją śpiącą i musiał zostawić jej trochę czasu, żeby mogła się ubrać i przygotować do wyjścia.

Była to drobna, szczupła brunetka, dość ładna, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Bardzo blada, usta miała zaciśnięte. Nie udawała „uciśnionej niewinności”.

Maigret kazał jej usiąść po drugiej stronie biurka. Janvier, z notatnikiem w ręku, protokołował.

— Mąż pani nazywa się René Lussac i pracuje jako przedstawiciel handlowy?

— Tak.

— Ma trzydzieści jeden lat. Od jakiego czasu jesteście małżeństwem?

— Od czterech lat.

— Pani nazwisko panieńskie?

— Jacqueline Baudet.

— Urodzona w Paryżu?  
— W Orleanie. Przyjechałam do Paryża, do ciotki, mając lat szesnaście.  
— Czym zajmuje się pani ciotka?  
— Jest akuszerką. Mieszka przy ulicy Notre–Dame–de–Lorette.  
— Gdzie pani poznała René Lussaca?  
— W firmie, gdzie pracowałam jako ekspedientka.  
— Co to była za firma?  
— Sklep z instrumentami muzycznymi i z płytami gramofonowymi... Gdzie on jest, panie komisarzu? Proszę mi powiedzieć, co się z nim stało. Odkąd Jo...  
— Pani mówi o Josephie Raison?  
— Tak. Joseph i jego żona to nasi najbliżsi przyjaciele. Mieszkamy w tym samym domu.  
— Często mężczyźni wychodzili razem?  
— Zdarzało się. Czasami. Odkąd Joseph nie żyje...  
— Boi się pani, żeby coś podobnego nie przydarzyło się pani mężowi?  
— Gdzie on jest?  
— Jest tutaj.  
— Żyje?  
— Tak.  
— Ranny?  
— Omal nie został ranny, ale nic mu się nie stało.  
— Mogę się z nim zobaczyć?  
— Nie w tej chwili.  
— Dlaczego?  
Uśmiechnęła się z goryczą.  
— Jaka jestem głupia, że zadaję panu podobne pytania! Domyślam się, czego pan chce się dowiedzieć i dlaczego pan mnie przesłuchuje. Pan myśli, że kobieta prędzej się wygada niż mężczyzna, prawda?  
— Fernand jest aresztowany.  
— Kto to jest Fernand?  
— Pani naprawdę nie wie?  
Spojrzała mu prosto w oczy.  
— Naprawdę. — Mój mąż nigdy nie wspominał takiego imienia. Wiem tylko, że istnieje ktoś, kto wydawał mu rozkazy.  
Wyciągnęła chusteczkę z torebki, ale chyba tylko dla zachowania pozorów, bo oczy miała suche.  
— Od dawna bałam się o niego, błagałam go, żeby nie zadawał się z takimi typami. Ma niezłą pracę, zarabia wprawdzie nie tak dużo, ale jakoś dawaliśmy sobie radę... Byliśmy tacy szczęśliwi. Czego mu jeszcze było trzeba? Dopóki nie zetknął się z tym złym duchem...  
— Kiedy to było?  
— Jakieś pół roku temu... W zimie... Nie, pod koniec lata... Dobrze, że to się wreszcie skończyło, nie będę musiała już tak ciągle drzeć o niego...  
Była zmęczona, trochę zagubiona, z trudem porządkowała myśli.  
— Jedno twierdzą z całą pewnością: René nie strzelał!  
— Skąd pani wie? Dlaczego jest pani tego taka pewna?  
— Bo go znam. Nie byłby do tego zdolny. Dał się wciągnąć w awanturę, nie zdawał sobie sprawy, jakie to groźne...  
— Miał pieniądze?  
— Od pewnego czasu zauważyłam, że przynosił do domu więcej pieniędzy, niż na to liczyłam. I wychodził wieczorami częściej niż dawniej, prawie zawsze w towarzystwie Josepha Raison. Któregoś dnia znalazłam u niego w szufladzie broń...

— I co on pani na to powiedział?

— Powiedział, że nie mam się czego bać, że za parę miesięcy będziemy mogli zamieszkać na Riwerze i nie będziemy mieli żadnych kłopotów materialnych. Chciał otworzyć własny sklep, gdzieś w Cannes albo w Nicei...

Teraz już nie udawała, płakała rzeczywiście.

— W gruncie rzeczy szło o ten samochód... Ogromnie mu zależało, żeby mieć wóz dobrej marki, floridę. Podpisał weksle... Trzeba było spłacać je w terminie... Jak on się dowie, że ja to wszystko wypaplałam, będzie się na mnie gniewał... Może mnie nawet rzuci, rozwiedzie się ze mną...

Z korytarza słyhać było zbliżające się kroki i piskliwy głos Buffet'a.

Maigret dał znak inspektorowi Janvier, żeby wyprowadził żonę Lussaca i kazał jej poczekać w sąsiednim pokoju. Otworzył drzwi na korytarz i zobaczył, jak trzech mężczyzn popycha przed sobą silnego draba z kajdankami na obu rękach. Drab spojrział na komisarza spode łba, ponuro i wyzywająco.

— A gdzie ta kobieta? — zapytał Maigret.

— Na drugim końcu korytarza. O, to ziółko! Drapie i gryzie. Gorsza niż on!

Rzeczywiście Buffet miał twarz całą podrapaną, na końcu nosa zakrzepłą krew.

— Podejść bliżej, Fernand.

Buffet wszedł razem z nim do gabinetu Maigreta, dwaj inspektorzy zostali na korytarzu. Aresztowany rozejrzał się dokoła i rzucił ironicznie:

— Zdaje mi się, że już tu kiedyś byłem. Wyraźnie powracał mu tupet.

— Pewno pan będzie chciał znowu zarzucać mnie głupimi pytaniami. Już raz tak było, pamiętam. Uprzedzam od razu: nie będę na żadne pytania odpowiadał. Mam do tego prawo!

— Kto jest twoim obrońcą?

— Ten sam co zawsze. Adwokat Gambier.

— Chcesz, żeby go tu wezwać?

— Po co? Mnie on do niczego nie jest potrzebny. A jeśli pan ma ochotę wyciągać go z łóżka o tej porze...

Przez całą noc na Quai des Orfèvres panował wzmożony ruch; inspektorzy trzaskali drzwiami, biegali po korytarzu, stukwały maszyny do pisania, bez przerwy dzwoniły telefony. Prokuratura chciała być informowana na bieżąco; sędzia śledczy postanowił czuwać.

Woźny zajął się parzeniem kawy.

Maigret spotkał jednego ze swych współpracowników na korytarzu.

— No i co? Dowiedzieliście się czegoś od niego?

— Nie. Zaciął się i milczy.

Żaden z tych trzech zatrzymanych w kawiarni „U Przyaciół” w pobliżu Porte-de-Versailles nie znał Fernanda. Trzymali się tego uparcie. Zmówili się widać uprzednio, żeby zapierać się do ostatka.

A gdy puszczone taśmę z nagraniem rozmowy telefoniczną, którą przeprowadził René Lussac z Corbeil, próbowali bagatelizować:

— Co nas to obchodzi? René ma w Corbeil dziewczynę, cóż w tym złego, że chciał z nią porozmawiać?

A René Lussac odpowiadał:

— Może i mam kochankę, no to co? Nie wolno?

Skonfrontowano żonę Lussaca z Fernandem.

— Zna pani tego człowieka?

— Nie znam.

— A co, nie mówiłem? — ucieszył się aresztowany. — Ta pani nie widziała mnie na oczy! Przecież siedziałem tyle lat w mamrze, i to gdzie — na wyspie Ré... A ona tam nigdy nie była!

— Kiedy wyszliście z więzienia?

— O rok wcześniej, niż mi się należało, i jeden kumpel dał mi adres swojej kobity, powiedział, żebym szedł do niej jak w dym, to ona na pewno nie odmówi mi dachu nad głową i żarcia... No i było mi u niej jak u Pana Boga za piecem...

Adwokat Gambier, zawiadomiony telefonicznie, zjawił się o pierwszej w nocy i w obronie swego klienta zasypał wszystkich cytatami z „Kodeksu karnego”.

Według nowej procedury postępowania w sprawach karnych nie wolno zatrzymywać podejrzanych dłużej niż na dwadzieścia cztery godziny, po czym sprawa przechodzi w ręce prokuratury i sędziego śledczego, którzy biorą za nią pełną odpowiedzialność...

Kolejna konfrontacja — René Lussaca z żoną — nie dała żadnych rezultatów.

— Powiedz im prawdę.

— Jaką prawdę? Że mam kochankę?

— A broń...?

— Jeden z kolegów pożyczył mi swoją spluwę. No i co z tego? Często wyjeżdżam, jestem sam jeden na pustych drogach, w nocy, lepiej mieć taką pukawkę w kieszeni, żeby w razie czego...

We wczesnych godzinach rannych sprowadzono na Quai des Orfèvres świadków napadu przy ulicy La Fayette: kelnerów i kasjerkę z kawiarni naprzeciwko, żebraka, policjanta w cywilu, który strzelał, i przypadkowych przechodniów.

Przeprowadzono drobiazgową rewizję w mieszkaniach wszystkich trzech aresztowanych w nadziei, że w którymś z nich znajdzie się walizeczka zrabowana kasjerowi.

Wszystko to odbywało się normalnym trybem, zgodnie z rutyną, według ustalonego szablonu dochodzenia policyjnego.

— Pani Lussac może wrócić do domu — rzekł Maigret. — Uprzedzam jednak, że będzie pani pod stałym nadzorem policji.

Przygarbiona, zgnębiona, patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, jak gdyby nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Podczas gdy inspektorzy przesłuchiwali w dalszym ciągu aresztowanych, biorąc ich w krzyżowy ogień pytań, Maigret postanowił się trochę przewietrzyć.

Ranek był chłodny, padał śnieg. Maigret wstąpił do pierwszej z brzegu otwartej już o tej porze kawiarenki i stojąc przy kontuarze wypił dwie filiżanki gorącej kawy, przegryzając chrupiącymi rogalikami.

Gdy wrócił do biura, była już godzina siódma. Czuł się bardzo zmęczony, oczy miał przekrwione, piekły go powieki.

W gabinecie czekał na niego inspektor Fumel, co bardzo zdziwiło Maigreta.

— Czyżbyś i ty także miał dla mnie jakąś wiadomość?

— Mam, szefie!

— No to gadaj!

Fumel zaczął opowiadać gorączkowo:

— Tej nocy miałem dyżur. Informowałem się, co się dzieje na Avenue de Versailles, ale jednocześnie byłem w kontakcie telefonicznym z kolegami z innych komisariatów. Wszyscy posiadają fotografię Cuendeta, dawałem im z myślą, że nie dziś, to jutro coś z tego jednak wyniknie... No i właśnie kiedy rozmawiałem z komisarzem Duffieux z trzynastki, przypomniałem mu o tym moim facecie. A on na to, że właśnie chciał do mnie dzwonić w tej sprawie. Współpracuje z inspektorem Lognon, który na widok zdjęcia Cuendeta mruknął coś do siebie i od razu schował je do kieszeni. Widocznie ta twarz mu kogoś przypominała. Zaczął zasięgać informacji po rozmaitych małych barach i restauracyjkach — w okolicach placu Constantin-Pecqueur i ulicy Caulaincourt. Pan zna Lognona, panie komisarzu, pan wie, jak on sobie czymś nabije głowę, będzie się tego trzymał i nie popuści. Wreszcie udało mu się trafić w dziesiątkę: w jednym takim małym barze, pod nazwą „La Regence” przy ulicy

Caulaincourt, z miejsca rozpoznano Cuendeta. Powiedziano mu, że on tu często bywał w towarzystwie kobiety.

— Często tam bywał... — powtórzył Maigret w zamyśleniu. — A od jak dawna?

— Zdumiewające! Podobno od paru lat.

— Wiedzą coś o tej kobiecie?

— Kelner nie zna jej nazwiska, ale mówi, że ona musi mieszkać gdzieś blisko, może w którymś z sąsiednich domów, bo widuje ją przez okno co rano, jak wychodzi po zakupy.

W Wydziale Śledczym uwaga wszystkich była skoncentrowana na osobie Fernanda i jego kompanach. Na korytarzach znów zaroilo się od świadków, którym pokazywano kolejno każdego z zatrzymanych. Wytężona praca nie ustawała, a maszyny do pisania stukały bez przerwy, protokolując zeznania świadków.

Inspektor Fumel czuł się nieswojo wśród tej krzątaniny. Stał w korytarzu, trzymając w zażółconych od nikotyny palcach papierosa albo paląc go z takim roztargnieniem, że nie czuł, gdy mu parzył wargi. On jeden nie zapominał o tym cichym, spokojnym Szwajcarze, którego zwłoki widział w Lasku Bulońskim, a którego osobą interesował się komisarz Maigret. Nikt już o tym człowieku nie pamiętał. Tak jakby sprawa jego morderstwa została raz na zawsze pogrzebana. Czyż sędzia śledczy Cajou nie był przekonany, że nie warto się nią zajmować. Przesądził kwestię za jednym zamachem, już na samym początku, stwierdzając autorytatywnie: „Porachunki osobiste między opryszkami...” Nie znał ani starej Justyny z ulicy Mouffetard, ani hotelu „Lambert”, ani pałacyku naprzeciwko...

— Zmęczony jesteś, Fumel?

— Nie bardzo.

— Wyjdziemy razem, chcesz?

Maigret mówił do Fumela tonem tak poufnym, jak gdyby był uczniakiem, który proponuje koledze, żeby poszedł z nim na wagary.

— Jak przyjdziemy na miejsce, będzie już jasno...

Pozostawiwszy odpowiednie instrukcje swoim ludziom, Maigret wyszedł na Quai des Orfèvres. Zatrzymał się na rogu ulicy, kupił papierosy, po czym udał się w towarzystwie zziębniętego do szpiku kości inspektora Fumela na przystanek, by czekać na autobus, idący w kierunku Montmartre.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Inspektor Lognon domyślał się, że komisarz Maigret przywiązuje większą wagę do odnalezienia morderców jakiegoś tam, niemal bezimiennego, człowieka w Lasku Bulońskim niż do napadu rabunkowego przy ulicy La Fayette i bandy gangsterów, o czym głośno było w całej prasie — tylko nie wiedział dlaczego.

Ale skoro jest tak, jak przypuszcza, to dlaczego komisarz Maigret nie pochwycił nitki, która mogłaby doprowadzić do kłębka? Kto wie, jak daleko posunął się w poszukiwaniu prawdy — wiadomo przecież, że Maigret to człowiek obdarzony niebywałym węchem, a przy tym umie dążyć do celu wytrwale, uparcie, ambitnie, pragnie wygrać za wszelką cenę!

Może to tylko Lognona przesładuje pech — że nie udało mu się jak dotąd nic wskórać. A mógłby przecież i on wreszcie awansować. Pomyślał z goryczą: czyżby los kazał mu zostać do końca kariery tylko inspektorem — podobnie jak wiecznym inspektorem jest Fumel? Tamten w szesnastce, Lognon w trzynastce. Fumela rzuciła żona, wyjechała nie zostawiając adresu. Żona Lognona ciągle choruje, kwęka już od piętnastu lat.

W sprawie Cuendeta może i sam Lognon jest trochę winien, nie dopilnował należycie wszystkiego. Zajęty innymi sprawami, przekazał tę właśnie koledze, który nie przywiązywał do niej zbyt wielkiej wagi. Porozmawiał tylko raz z Fumelem, telefonicznie, i dość przypadkowo. Ale czy ta informacja ma jakieś znaczenie?

Śnieg padał wielkimi płatami, na chodnikach zebrała się dość gruba warstwa, która jednak szybko topniała.

Autobus był przepełniony i przegrzany. Większość pasażerów milczała. Jedni patrzyli przez okno, inni drętwą gapili się przed siebie. Na zakrętach przechylali się mimo woli w prawo, bądź w lewo.

— Nie dowiedziałeś się niczego na temat futra? — zapytał nagle Maigret.

Fumel, pogrążony w swoich myślach, wzdrygnął się i powtórzył ostatnie słowo, jak gdyby w pierwszej chwili nie zrozumiał.

— Futra?

On też był senny.

— Futra żbika do przykrywania nóg w samochodzie.

— A prawda. Zaglądałem do auta Stuarta Wiltona. Nic tam takiego nie było. Wspaniały wóz! Nie tylko ma ogrzewanie, ale i klimatyzację. I podobno barek. Powiedzieli mi w jego garażu.

— A w samochodzie jego syna?

— On trzyma swój wóz zazwyczaj przed hotelem „Georges V”. Także zajrzałem do środka. Żadnego przykrycia na nogi nie było.

— Wiesz, gdzie on kupuje benzynę?

— Na najbliższej stacji benzynowej, przy ulicy Marbeuf.

— Byłeś tam?

— Nie zdążyłem jeszcze.

Autobus zatrzymał się na placu Constantin–Pecqueur. O tak wczesnej porze było tu prawie całkiem pusto. Dopiero dochodziła ósma.

— To chyba będzie tu. „La Regence”.

Była to piwiarnia staroświecka, takich lokali jest coraz mniej w Paryżu, z marmurową ladą, z miejscem przy kontuarze wydzielonym dla kasjerki, z lustrami na ścianach z metalowymi

kóleczkami zamiast wieszaków. Specjalnością lokalu — jak to polecały wywieszki — miała być *choucroute garnie*\*.

Wewnątrz było już jasno; kelner zgarniał na szufłę zmiotki z podłogi.

— Jadłeś co? — zapytał Maigret.

— Nic jeszcze — odpowiedział Fumel.

Fumel zamówił dla siebie kawę i bułeczki maślane, Maigret zaś, który wypił tej nocy i z samego rana sporo kawy — kieliszek koniaku.

Dziwna pora, ni pies, ni wydra... Już nie noc, ale jeszcze nie dzień. Przez okno widać było spieszące do szkoły dzieci. Schylały się, biały w ręce śnieg, próbowały lepić z niego kulki, ale roztopiał im się w rękach.

— Niech mi pan powie... — zwrócił się Maigret do kelnera.

— Słucham pana.

— Czy pan zna tego człowieka?

Kelner wpatrywał się przez dłuższą chwilę w komisarza, jakby z natężeniem usiłował sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz.

— Pan Maigret... pan komisarz Maigret, prawda? Przypominam sobie. Pan był tu u nas — dość dawno, chyba ze dwa lata temu — razem z inspektorem Lognonem.

Przyglądał się skwapliwie fotografii.

— Tak, ten pan tu przychodzi. Nie sam. Zawsze z taką jedną... kapeluszową.

— Co to znaczy „kapeluszowa”?

— A bo ona nosi za każdym razem inny kapelusz, takie jakieś śmieszne cuda. Najczęściej przychodzą razem na kolację, siadają o tam, w kąciku. Ona przepada za *choucroute*. Nie śpieszą się nigdzie, siedzą długo, piją powoli kawę, czasem zamówią kieliszek koniaku. Patrzą sobie w oczy albo trzymają się za ręce. Bardzo sympatyczni oboje.

— I od dawna tak tu przychodzą?

— A, od paru lat. Sam nie pamiętam od kiedy.

— Ona może mieszka tu gdzieś blisko?

— Już mnie o to pytano. Widuję ją co rano, jak wychodzi z siatką po zakupy. Pewno mieszka na tej ulicy.

Dlaczego Maigret był taki zadowolony, że udało mu się wykryć obecność kobiety w życiu Honoré Cuendeta?

W pół godziny później wchodził w towarzystwie Fumela do pierwszej z brzegu kamienicy. Konsjerżka w swoim mieszkanku segregowała listy do lokatorów.

— Zna pani tego człowieka?

Oglądała fotografię w skupieniu. Po chwili potrząsnęła przecząco głową.

— Wydaje mi się, że gdzieś go widziałam, ale nie mogę powiedzieć, że go znam. W każdym razie tu nie przychodził.

— A może mieszka tu... może pani ma wśród swoich lokatorów kobietę, która często zmienia kapelusze?

Konsjerżka spojrzała na Maigreta zdumiona — wzruszyła ramionami i wymamrotała coś pod nosem, czego nie dosłyszał.

Podobnie w drugiej i w trzeciej kamienicy poszukiwania spełzły na niczym.

W czwartej, w momencie gdy weszli, konsjerżka bandażowała rękę mężowi, który skaleczył się wynosząc kubły ze śmieciami.

— Zna pani tego człowieka?

— A bo co?

— Mieszka w tym domu?

— Mieszka nie mieszka, trudno powiedzieć. Przychodzi do tej pani z piątego.

---

\* Specjalność alzacka — kiszona kapusta z wędliną, szynką lub kielbasą w talarkach, ze smażonymi ziemniakami (przyp. tłum.).

- Jakiej pani?
- Do modystki. Panny Eweliny.
- Dawno tu mieszka ta panna Ewelina?
- O, będzie z dziesięć, dwanaście lat. Już tu mieszkała, zanim ja się wprowadziłam.
- I on wtedy bywał u niej?
- A bo ja wiem... Może tak... Nie pamiętam.
- Widywała ją pani ostatnio?
- Kogo? Ewelinę? Widuję ją co dzień!
- A jego?
- Nie pamiętasz — zwróciła się do męża — kiedy widzieliśmy ostatnio tego pana?
- Nie wiem. Nie tak dawno.
- Zdarzało mu się nocować u niej?

Konsjerzka uśmiechnęła się. Widocznie uważała komisarza za człowieka bardzo naiwnego.

- A jeśli nawet?... Są oboje pełnoletni, tak czy nie?
- A nie mieszkał jakoś dłużej... tydzień, dwa?
- Czasem może i miesiąc.
- A ta Ewelina jest teraz w domu?
- Na pewno jest.
- Jak jej nazwisko?
- Schneider. Ewelina Schneider.
- Otrzymuje jakieś listy?
- E, chyba nie. Bardzo rzadko.
- Na którym piętrze mieszka?
- Już mówiłam. Na piątym.
- Na lewo czy na prawo?
- Na prawo.

Maigret wyszedł na ulicę, żeby sprawdzić, czy w oknach na piątym piętrze się świeci. Świeciło się.

Windy w tym domu nie było. Musieli drapać się po schodach. Dom wydawał się spokojny i schludny, schody były czysto utrzymane. Przed drzwiami mieszkań leżały słomianki. Tu i ówdzie — na drzwiach widniała tabliczka z nazwiskiem metalowa lub emaliowana.

Na drugim piętrze mieszkał dentysta, na trzecim akuszerka. Maigret przystawał na każdym podejściu schodów w obawie przed zadyszką. Zza zamkniętych drzwi dobiegały dźwięki radia.

Na piątym piętrze zatrzymali się przed drzwiami z prawej strony. Przez dłuższą chwilę Maigret wahał się, zanim nacisnął guzik dzwonka. I stąd także dobiegały dźwięki muzyki, ale po chwili ktoś wyłączył radio, dały się słyszeć kroki i w otwartych drzwiach na progu ukazała się drobna blondynka, ubrana nie w szlafrok, tylko w luźną bluzę i spodnie, ze ściereczką od kurzu w ręku. Patrzyła na nich szeroko otwartymi niebieskimi oczyma.

Maigret i Fumel czuli się nie mniej zakłopotani niż ona. W jej oczach najpierw odmalowało się zdziwienie, a po chwili niepokój. Wargi jej drżały, gdy zapytała:

- Panowie przynosicie mi... złą wiadomość?

Gestem zaprosiła ich do pokoju. Widocznie była zajęta sprzątaniem, bo odkurzacz elektryczny jeszcze warczał. Wyłączyła go i przechodząc odepchnęła nogą, by nie tarasował drogi.

- Dlaczego pani tak przypuszcza?

— Nie wiem sama... Wizyta o tej porze... A Honoré nie przychodzi... Nie wiem, co się z nim dzieje...

Wyglądała jeszcze młodo, ale była już chyba po czterdziestce. Cerę miała świeżą, twarz krągłą, kształty jędrne.



— Panowie... z policji?

— Komisarz Maigret. A to inspektor Fumel.

— Honoré miał jakiś wypadek?

— Przynosimy pani, istotnie, złą wiadomość.

Nie rozpląkała się. Czekala w napięciu słów, które może kryją jakąś nadzieję.

— Proszę siadać. Niech panowie zdejmą palta, tu jest bardzo ciepło. Honoré lubi, żeby było bardzo ciepło. Przepraszam za nieporządek...

— Pani go kocha?

Zagryzła wargi. Po chwili zamiast odpowiedzi zapytała:

— Ranny? — I zaraz potem, bez pauzy: — Nie żyje? Dopiero wtedy zaczęła płakać, z ustami w podkówkę, jak dziecko, nie myśląc o tym, że robi się brzydka. Jednocześnie zgarnęła włosy obiema rękami. Oczy jej błędziły po pokoju, jak gdyby szukała kąta, w którym mogłaby się ukryć.

— Przeczuwałam, że tak będzie...

— Dlaczego?

— Nie wiem... Byliśmy tacy szczęśliwi.

Pokój, przyjemnie urządony, z solidnymi meblami w dobrym gatunku, z bibelotami, nie świadczącymi jednak o złym guście, stwarzał atmosferę intymności. Przez otwarte drzwi widać było jasno oświetloną kuchnię, ze stołem nakrytym do śniadania.

— Przepraszam... — wyszeptała nagle i otworzyła drzwi do przyległego pokoju, półciemnej sypialni.

Rzuciła się na łóżko, kryjąc głowę w poduszkę, by móc się wypłakać.

Maigret i Fumel spojrzeli po sobie w milczeniu. Z nich dwóch Fumel był bardziej wzruszony, może dlatego, że miał w ogóle słabość do kobiet, mimo kłopotów i strapień, o jakie go przyprawiały.

Po jakimś czasie — krótszym, niż można się było spodziewać — wstała, poszła do łazienki, opłukała twarz zimną wodą i gdy wróciła do pokoju, prawie spokojna, szepnęła:

— Przepraszam...

Po chwili, już opanowana, zapytała:

— Co się z nim stało?

— Znaleziono go w Lasku Bulońskim. Już nie żył. Nie czytała pani w gazecie?

— Nie, ja nie czytam gazet. Ale on... W Lasku Bulońskim? Co on tam robił?

— Został zamordowany wcześniej i gdzie indziej.

— Zamordowany? Z jakiego powodu?

Usiłowała powstrzymać się, żeby znów nie wybuchnąć łkaniem.

— Od dawna byliście... razem?

— Od dziesięciu lat.

— Gdzie się poznaliście?

— W takim małym lokalu... tu niedaleko.

— W... „La Regence”.

— Tak. Jadam tam od czasu do czasu. Zobaczyłam go, jak siedział w kącie.

Czyż to nie świadczyło o tym, że już wtedy Cuendet planował włamanie w tej właśnie dzielnicy? Prawdopodobnie. Przeglądając listy kradzieży, których sprawcy nie zostali ustaleni, na pewno natrafiono by na kradzież popełnioną przy ulicy Caulaincourt.

— I co było dalej?

— Już dziś nie pamiętam, jak to się stało, że nawiązaliśmy rozmowę. Aha, zapytał mnie, czy jestem Niemką, odpowiedziałam mu, że pochodzę z Alzacji. Urodziłam się w Strassburgu.

Po jej twarzy przemknął nikły uśmiech.

— Bawiło to nas, że oboje mamy akcent cudzoziemski, ale każde z nas innego rodzaju.

Jej akcent był miły dla ucha, śpiewny. Żona Maigreta także pochodziła z Alzacji. I nawet trochę była podobna — za młodych lat — do tej Eweliny: drobna, blondynka, pulchniutka...

— Zamieszkalście razem?

Wytarła chusteczką nos, już dobrze zaczerwieniony. Ale na pewno w tej chwili nie myślała o tym, czy ładnie wygląda.

— Nie, przychodził tylko do mnie. Od czasu do czasu zostawał na dłużej, na dwa, trzy tygodnie, a potem mówił, że musi wyjechać. Nawet myślałam początkowo, że może ma żonę i dzieci gdzieś na prowincji. Niektórzy mężczyźni mają taki zwyczaj, że jak przyjeżdżają do Paryża, to od razu ściągają z palca obrączkę...

Widocznie miała w tych sprawach pewne doświadczenie.

— I w jaki sposób upewniła się pani, że nie jest żonaty?

— Nie jest, prawda?

— Prawda.

— Byłam tego pewna. Przede wszystkim zauważyłam, jakim wzrokiem patrzy na dzieci spotykane na ulicy. Widać było, że żałuje, iż sam nie ma dzieci. Może już zrezygnował, ale wciąż jeszcze miał ciągoty do ojcostwa. A po drugie, gdy był tu, gdy mieszkał razem ze mną, zachowywał się inaczej, niż zachowuje się mężczyzna żonaty. Trudno to wyjaśnić, ale to się czuje. Był taki jakiś wstydlivy... żonaci mężczyźni są inni. Pierwszy raz gdy nocował u mnie, był zażenowany... a rano, gdy obudził się w moim łóżku, nie wiedział, co ze sobą zrobić.

— Nie mówił pani nigdy, czym się zajmuje? Jaki ma zawód?

— Nie.

— A pani go nie pytała?

— Staralam się dowiedzieć, nie stawiając niedyskretnych pytań.

— Opowiadał pani, dokąd wyjeżdża?

— Mówił, że musi wyjeżdżać. Tylko tyle. Ani dokąd, ani po co. Raz zapytałam go, czy ma matkę. Nic nie odpowiedział, zaczerwienił się tylko. Domyśliłam się wobec tego, że mieszka razem z matką. W każdym razie wiedziałam, że ma kogoś, kto dba o jego bieliznę, kto ceruje mu skarpetki — tylko że ten ktoś nie robi tego zbyt starannie. Guziki od koszuli miał zawsze krzywo przyszyte, nieraz śmiałam się z niego...

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Kilka tygodni temu... Chyba ze sześć. Chwileczkę... przypomnę sobie datę.

Po chwili zapytała:

— A kiedy... kiedy to się stało?

— W piątek.

— Miał jakieś pieniądze?

— Pieniądzy nigdy nie miał dużo przy sobie.

— A gdy przychodził do pani na dłuższy czas — czy przynosił ze sobą walizkę?

— Nie. Jeśli pan otworzy szafę, zobaczy pan jego szlafrok, ranne pantofle, a w szufladzie koszule, skarpetki, piżamę...

Wskazała na kominek, na którym Maigret zauważył trzy fajki, w tym jedną piankową. I tu także był piec kaflowy, tak samo jak w mieszkaniu przy ulicy Mouffetard, i fotel obok pieca. Fotel Honoré Cuendeta...

— Przepraszam za niedyskrecję... Ale muszę zadać pani pewne pytanie.

— Domyślam się. Chodzi o pieniądze?

— Tak. Dawał je pani?

— Proponował, ale ja nie chciałam przyjąć. Zarabiam tyle, że starczy mi na życie. Ponieważ usilnie nalegał, zgodziłam się tylko na jedno — widocznie czułby się nieswojo, gdyby nic nie dawał — żeby opłacał połowę komornego. Za to robił mi kosztowne

prezenty... To on kupił meble do tego pokoju i urządził mi salonik dla klientek... Możecie panowie zobaczyć...

Otworzyła jeszcze jedne drzwi i pokazała im mały, ciasny pokoik, umeblowany w stylu Ludwika szesnastego, z dużą ilością luster...

— To on odnowił całe mieszkanie, odmalował kuchnię na olejno, sam wytapetował ten pokój i salonik. Szalenie lubił wszystko robić sam, majsterkować...

— A co on w ogóle robił przez cały dzień?

— Chodził na spacer, tu niedaleko, zawsze po tych samych ulicach, w naszej dzielnicy, tak jak to robią ci, co wyprowadzają psa, żeby się wybiegał... Wracał, zaraz siadał w fotelu i brał się do czytania. Mnóstwo książek leży, w szafie, panowie mogą zobaczyć...

— Jakie książki najbardziej lubił czytać?

— O podróżach.

— Wyjeżdżaliście kiedy razem?

— Spędziliśmy kilka dni w Dieppe, przed dwoma laty. Jeszcze przedtem pojechaliśmy na wakacje do Sabaudii i on pokazywał mi z daleka góry w Szwajcarii, mówił, że to jego kraj ojczysty. A na samym początku zrobiliśmy wycieczkę autokarem z Paryża do Nicei i zwiedziliśmy całe Lazurowe Wybrzeże.

— Miał szeroki gest?

— To zależy od tego, co pan nazywa szerokim gestem. Nie, skąpy nie był, ale nie lubił, żeby go oszukiwano. Rachunki w hotelach, w restauracjach zawsze sprawdzał.

— Jeszcze jedno niedyskretne pytanie...

— Ile mam lat?

— Tak.

— Czterdzieści cztery.

— To znaczy, że zdobyła już pani pewne doświadczenie życiowe. I nie zastanawiała się pani nigdy nad tym, dlaczego ten człowiek prowadzi podwójne życie? Ani dlaczego nie żeni się z panią?

— Znałam innych mężczyzn, którzy także nie proponowali mi małżeństwa.

— Mężczyźni.. podobni do niego?

— Nie, oczywiście nie. — Po chwili dodała: — Zastanawiałam się nad tym nieraz sama. Początkowo, jak już panu mówiłam, myślałam, że on ma gdzieś na prowincji żonę i przyjeżdża co jakiś czas do Paryża w interesach. Nie miałabym mu za złe, gdyby się okazało, że tak jest naprawdę... Kto by nie chciał mieć drugiego domu, gdyby wiedział, że ktoś na niego czeka z otwartymi ramionami... Nie lubił hoteli, zauważyłam to od razu, podczas naszej pierwszej wspólnej podróży. Zawsze był taki czujny, jakby się czegoś bał...

(Aha... więc to tak!... — pomyślał Maigret... — Bał się jednak).

— Później, kiedy poznałam go bliżej i kiedy zobaczyłam te jego niestarannie zacerowane skarpetki, domyśliłam się, że mieszka z matką, tylko wstydzi się do tego przyznać. Dużo jest takich mężczyzn, którzy nie żenią się ze względu na matkę, nikt by tego nie przypuszczał, ale to jest właśnie przyczyna... Mają pięćdziesiąt lat, a drżą przed mamusią jak mali chłopcy. Myślałam, że z nim tak właśnie jest...

— Ale przecież musiał z czegoś żyć?... Zarabiać, żeby zdobyć pieniądze.

— Mógł mieć jakieś swoje interesy.

— Nie podejrzewała pani nigdy, że on może uprawiać...

— Co?

Zapytała tak szczerze, iż niepodobna było przypuścić, że gra komedię.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Teraz jestem już przygotowana na wszystko. Co on takiego robił?

— Kradł, proszę pani. Był złodziejem.

— On? Honoré? — Roześmiała się nerwowo. — Pan żartuje, prawda? To niemożliwe!

— Możliwe, niestety. Przez całe swoje życie kradł, począwszy od szesnastego roku życia, wówczas kiedy był jeszcze uczniem ślusarskim. Uciekł z domu poprawczego w Szwajcarii po to, żeby wstąpić do Legii Cudzoziemskiej.

— O tym, że był w Legii, powiedział mi, kiedy zauważyłam jego tatuaż.

— A nie powiedział o tym, że był dwa lata w więzieniu?

Usiadła, jakby nagle nogi się pod nią ugięły, i słuchała tak, jak gdyby to była mowa o kimś innym, nie o jej kochanku, którego znała przecież tak dobrze od tylu lat...

Od czasu do czasu potrzasała głową z niedowierzaniem.

— To ja sam, proszę pani, ja osobiście go aresztowałem, a potem jeszcze kilka razy przesłuchiwałem w swoim gabinecie. Tak, to był złodziej, może tylko inny niż wszyscy. Prowadził tryb życia na pozór stateczny. Nie obracał się w środowisku przestępczym, nie miał współników. Co jakiś czas przygotowywał skok. Całymi tygodniami obserwował upatrzony dom — kto i kiedy wychodzi i przychodzi... Aż do momentu, kiedy z całkowitą pewnością siebie zakradał się, żeby przywłaszczyć sobie cudze pieniądze, cudzą biżuterię...

— Nie, nie, to niemożliwe! Nigdy w to nie uwierzę!

— Rozumiem dobrze pani zaskoczenie. W jednej sprawie nie pomyliła się pani, odgadła pani trafnie: rzeczywiście mieszkał z matką, przy ulicy Mouffetard, tam miał swoje rzeczy.

— A ona wie?...

— Tak.

— Wiedziała już dawniej?

— Tak.

— I pozwalala mu na to? — Była bardziej zdziwiona niż oburzona. — I dlatego go zabili?

— Najprawdopodobniej.

— Policja?

Stawała się nieufna, mniej otwarta i jakby twardsza.

— Nie.

— Może ci ludzie, których... których próbował okradać... zamordowali go?

— Być może. Niech pani posłucha. To nie ja prowadzę w tej sprawie śledztwo, tylko sędzia śledczy Cajou. I to on powierzył pewne zadanie inspektorowi Fumelowi...

Inspektor Fumel lekko skłonił głowę.

— Inspektor Fumel jest u pani oficjalnie, ja nie... Miała pani prawo nie odpowiadać ani na jego pytania, ani na moje. Mogła pani nie wpuścić nas do mieszkania. I gdybyśmy w tej sytuacji próbowali przeprowadzić tu rewizję, popełnilibyśmy wykroczenie, nadużycie władzy. Pani mnie rozumie?

Nie. Maigret czuł, że ona nie zdaje sobie sprawy z doniosłości tych słów.

— Myślę, że...

— Mówiąc jasno: wszystko to, co pani nam wyznała na temat Cuendeta, nie będzie figurowało w raporcie oficjalnym inspektora. Należy liczyć się z tym, że sędzia śledczy, z chwilą gdy dowie się skądinąd o pani istnieniu, przyśle do pani inspektora, może Fumela, może kogoś innego, z właściwym pełnomocnictwem.

— I co ja wtedy mam zrobić?

— W tej sytuacji może pani zażądać obecności adwokata.

— Po co?

— Bo takie są pani uprawnienia. Pani osobiście nie popełniła żadnego przestępstwa. Ale może Cuendet zostawił w pani mieszkaniu — oprócz swoich książek i fajek — jeszcze jakieś rzeczy...

W jej niebieskich oczach pojawił się błysk zrozumienia. Na pół do siebie bąknęła:

— Walizka...

Ugryzła się w język, ale już było za późno.

— To przecież całkiem normalne — powiedział Maigret — że pani przyjaciel, mieszkając tu z panią dłuższy czas, przez kilka miesięcy w roku, powierzył pani swoją walizkę z osobistymi rzeczami. Nie mniej normalne byłoby, gdyby zostawił pani kluczyk od tej walizki, z poleceniem na przykład, żeby ją pani w razie czego otworzyła...

Maigret wolał nie mieć świadków przy tej rozmowie; Fumel jak gdyby odgadując jego intencje, odsunął się nieco na bok z miną człowieka, którego to nic a nic nie interesuje.

Lecz Ewelina poruszyła głową przecząco.

— Nie mam żadnego kluczyka. Ale...

— Mniejsza o to. Jeszcze jedno: taki człowiek jak Cuendet mógł być na tyle przewidujący, by sporządzić testament, w którym zawarłby pewne polecenia dla pani... Na przykład mógłby sobie życzyć, żeby zajęła się pani jego matką...

— Musi być już niemłoda...

— Zobaczysz pani sama... Jedno nie ulega wątpliwości: w jego życiu nie było innych kobiet, prócz matki i pani...

— Tak pan sądzi?

Pochlebilo jej to mimo wszystko i uśmiech zadowolenia przemknął po jej twarzy. Gdy się uśmiechnęła, na jej policzkach ukazały się dwa dołeczki, jak u młodej dziewczyny.

— Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć...

— Przemyśli pani sama niejedno... Po krótkiej pauzie zagadnęła:

— Niech pan mi powie, panie komisarzu... — zawahała się i zarumieniła nagle — czy on nigdy... nigdy nie zabił nikogo?

— Z całą pewnością mogę powiedzieć, że nie.

— Bo gdyby pan powiedział, że tak, przestałabym panu wierzyć.

— Dodam coś jeszcze trudniejszego do wytłumaczenia.

Cuendet żył, co nie ulega kwestii, ze swoich kradzieży.

— Wydawał przecież tak mało!

— Właśnie! Możliwe, że potrzebna mu była tylko świadomość, że może mieć pieniądze do swojej dyspozycji, dawało mu to poczucie pewności siebie, bezpieczeństwa. A możliwe, że grał tu rolę jeszcze jakiś inny motyw, i to rolę zasadniczą...

— Jaki motyw?

— Natury psychologicznej. Mówiłem już pani, że mógł tygodniami obserwować upatrzony dom...

— W jaki sposób?

— Przesiadywał całymi godzinami w różnych knajpkach, zajmując stolik przy oknie — albo wynajmował gdzieś pokój, w hotelu naprzeciwko...

Przerwała mu, podchwytyjąc tym razem jego myśl: — Sądzi pan, że i wtedy, kiedy poznaliśmy się... w „La Regence”...?

— Bardzo możliwe. Ale, co najdziwniejsze, nie czekał nigdy na to, żeby w mieszkaniu nie było nikogo. Przeciwnie: czekał, żeby właściciele wrócili do domu...

— Jak to wytłumaczyć?

— Psycholog bądź psychiatra odpowiedziałby pani na to pytanie lepiej niż ja. Może dlatego, że potrzebny mu był dreszczyk... igranie z niebezpieczeństwem? Nie gestem pewien. Zakradał się nie tylko do cudzych mieszkań, ale i do pewnego stopnia wkradał się w życie ich lokatorów. Gdy spali, w łózkach, ocierał się prawie o śpiących... Jak gdyby pragnął zabrać im ich intymność.

— Mógłby kto pomyśleć, że pan wcale nie ma mu tego za złe!

Z kolei uśmiechnął się Maigret, zanim odpowiedział:

— Staram się być obiektywny i nikomu nie mieć niczego — za złe. Taki jest mój zawód. To byłoby wszystko. Do widzenia. Proszę zapamiętać to, co pani powiedziałem, każde słowo. I przemyśleć to wszystko spokojnie.

Uściskał rękę Eweliny, ku jej wielkiemu zdziwieniu, a Fumel poszedł za przykładem komisarza, tylko jakoś bardziej niezgrabnie, jak gdyby trochę zmieszany.

Gdy znaleźli się na schodach, inspektor zawołał z zachwytem:

— Wspaniała kobieta!

Niewykluczone, że on tu jeszcze wróci, i to nie tylko z oficjalną misją... Może będzie bywał w tej okolicy nawet wtedy, kiedy już wszyscy zapomną o sprawie Cuendeta... Niepoprawny! Ma już teraz nieznośną kochankę, która robi wszystko, żeby mu skomplikować życie, a on, tak jakby i tego było mu mało, wiecznie szuka guza.

Śnieg padał tak gęsto, że na chodnikach powstawały zaspasy.

— Co mam teraz robić, szefie?

— Chce ci się spać? Nie? No, to wstąpmy na coś mocniejszego.

W „La Regence” było już teraz prawie pełno. Jakiś gość, być może komiwojazer, przepisywał z książki telefonicznej, sporządzonej według zawodów, potrzebne mu adresy.

— No, i co? Znaleźliście ją panowie?

— Tak.

— Niczego sobie kobitka, prawda? Co podać? — Dla mnie grog.

— Dla mnie także.

— Dwa grogi? Już niosę!

— Słuchaj, Fumel, jak się wyśpisz, sporządzisz raport. Jeszcze dzisiaj.

— Mam wspomnieć o ulicy Neuve–Saint–Pierre?

— Oczywiście. I o tym pałacyku Wiltona, naprzeciwko hotelu „Lambert”. Sędzia Cajou na pewno wezwie cię do siebie, żebyś podał mu więcej szczegółów.

— Może wyśle mnie do panny Schneider, żebym przeprowadził u niej rewizję?

— A ty, mam nadzieję, nie znajdziesz w tej walizce nic prócz ubrań.

Fumel palił papierosa za papierosem. Był z jakiegoś powodu zdenerwowany.

— Słyszałem, co pan jej mówił, panie komisarzu, i wszystko zrozumiałem

— Jego matka powiedziała mi: „Mój syn na pewno nie zostawi mnie bez niczego”.

— Powtórzyła i mnie to samo, słowo w słowo.

— Zobaczysz, że sędzia Cajou nie będzie chciał posunąć się w tej sprawie za daleko. Z chwilą kiedy padnie nazwisko Wiltona...

Maigret wypił swój grog, nie spiesząc się, małymi łykami. Zapłacił i wyszli.

Zdecydował się wziąć taksówkę.

— Chcesz, żebym cię odwiózł? Dokąd jedziesz? — Nie, dziękuję. Mam stąd autobus.

Może Fumel w obawie, że ta apetyczna kobietka nie wszystko dobrze zrozumiała, miał zamiar do niej wrócić, żeby jej wyjaśnić bardziej szczegółowo?

— Słuchaj, ten kawałek futra z dzikiego kota nie daje mi spokoju... Spróbuj, może uda ci się dowiedzieć czegoś jeszcze...

Z rękami w kieszeniach palta Maigret ruszył w kierunku placu Constantin–Pecqueur, na którym znajdował się postój taksówek.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Na Quai des Orfèvres wszyscy byli już bardzo zmęczeni i wyczerpani bezsenną nocą — zarówno przesłuchujący inspektorzy, jak przesłuchiwanie aresztanci. Sprowadzeni nad ranem świadkowie, niektórzy zbudzeni zniechęceni, byli naburmuszeni i niecierpliwili się czekając w korytarzu na swoją kolejkę.

Kelner z piwiarni przy ulicy Dauphine przyniósł kawę i bułeczki dla pracowników Wydziału Śledczego.

Maigret wrócił do biura i nie zwlekając zatelefonował do Wydziału Ustalania Tożsamości, prosząc do telefonu Moersa.

Ręce wszystkich czterech aresztowanych poddano tak zwanemu testowi parafinowemu: gdyby któryś z nich w ciągu ostatnich trzech czy czterech dni robił użytek z broni palnej, pod skórę dłoni musiałyby wbić się niedostrzegalne dla oka pyłki prochu, nawet gdyby byli w rękawiczkach.

— Masz już wyniki?

— Przed chwilą dostarczono mi z laboratorium.

— Który z tych czterech?

— Ten trzeci.

Maigret poszukał na liście — pod numerem 3 figurowało nazwisko, o które mu chodziło. Numer trzeci był to Roger Stieb, uchodźca z Czechosłowacji, który przez jakiś czas pracował w tej samej fabryce co Joseph Raison, przy Quai de Javel.

— Ta ekspertyza jest miarodajna?

— Najzupełniej.

— A pozostali?

— Nic nie znaleziono.

Roger Stieb, wysoki blondyn, zachowywał się najpotulniej. I teraz jeszcze, nękanymi pytaniami, siedział naprzeciwko inspektora Torrence i odpowiadał z zadziwiającą flegmą albo udawał, że nie rozumie dobrze po francusku.

A to on był właśnie od „mokrej roboty” w tej bandzie, to on miał ubezpieczać ucieczkę napastników — wszelkimi możliwymi sposobami.

Drugi, Loubieres, przysadzisty, muskularny, silnie owłosiony mężczyzna, był właścicielem garażu w Puteaux. Żonaty, ojciec dwojga dzieci, pochodził z Fecamp. Cała ekipa specjalistów zajęta była przeprowadzaniem rewizji w jego przedsiębiorstwie.

Rewizja w mieszkaniu René Lussaca, podobnie jak w willi Pięknej Rozalii, nie dała żadnych wyników.

Spośród wszystkich zatrzymanych Rozalia zachowywała się najbardziej hałaśliwie. Maigret słyszał jej piski i krzyki, choć była dość daleko, w gabinecie inspektora Lucasa, który ją przesłuchiwał.

Następnie zarządzono konfrontację. Obaj kelnerzy z kawiarni przy ulicy La Fayette byli zbyt wstrząśnięci, żeby móc twierdzić z całą pewnością, że człowiek, którego widzą w warunkach tak odmiennych, jest tym samym, którego widzieli wówczas przy stoliku w czasie napadu. Może to Fernand, a może nie.

— Macie panowie już teraz całą bandę? — zapytał jeden z kelnerów po konfrontacji.

Odpowiedziano mu, że tak, na pewno mają całą bandę w komplecie, choć nie było to właściwie zupełnie zgodne z rzeczywistością. Brakowało jeszcze jednego ognia: nie wiedzieli, kim był ów szofer, który uciekł, zabierając uczestników napadu przy ulicy La Fayette. Musiał być pierwszorzędnym kierowcą, skoro udało mu się zgubić w tłumie. Sam nie brał udziału w napadzie, pełnił rolę ważną, lecz podrzędną. I o nim nie było żadnych informacji.

— Halo! Tak, to ja, panie prokuratorze... Wiemy już, który to strzelał: nazywa się Roger Stieb.

Maigret trzymał się z trudem na nogach, mimo iż wypity grog trochę go pokrzepił; powieki kleiły mu się z niewyspania. Sięgnął więc po butelkę koniaku, przechowywaną w szafie ściennej na okazję „od wielkiego dzwonu”, i nie zastanawiając się, pociągnął z niej parę sporych łyków.

— Halo!... Nie, jeszcze nic, panie sędzio...

Dzwoniły jednocześnie obydwa aparaty stojące u niego na biurku. Odpowiadał na pytania z jednej i z drugiej strony.

Dopiero koło godziny wpół do jedenastej — ściślej mówiąc o dziesiątej dwadzieścia — Maigret otrzymał informację, na którą czekał w napięciu.

Telefon był z Puteaux.

— Znalezliśmy, szefie!

— Wszystko?

— Nie brakuje ani jednego banknotu!

Za pośrednictwem prasy podano do wiadomości publicznej, iż bank ma wynotowane numery i serie zrabowanych banknotów. Nie było to zgodne z prawdą. Jednakże gangsterzy uwierzyli i bali się puszczać te pieniądze w obieg., Czekali na odpowiednią okazję. Może uda im się wydać te banknoty gdzieś na prowincji albo za granicą? Fernand był za sprytny na to, żeby działać w pośpiechu i żeby pozwolić swym ludziom próbować szczęścia od razu, choćby gdzieś poza Paryżem, kiedy śledztwo jest jeszcze w toku.

— Gdzie?

— Pod wyścielanym siedzeniem w starym samochodzie. Matka Loubieresa, kobieta energiczna, widać, że ma głowę na karku, nie spuszczała nas z oka...

— Jak myślicie, wiedziała?

— Moim zdaniem tak. Przeszukaliśmy wszystkie wozy, jeden za drugim. W niektórych nawet rozmontowaliśmy silniki. No i proszę! Pełny sukces! Jest cała paczka!

— Nie zapomnij poprosić, żeby ta matka Loubieresa podpisała protokół.

— Już to zrobiłem. Ale odmówiła.

— W takim razie wezwij świadków.

— Wezwałem.

Dla komisarza Maigreta sprawa napadu rabunkowego przy ulicy La Fayette była więc już skończona. Nie miał potrzeby przesłuchiwać świadków ani też dokonywać dalszych konfrontacji. Te, co były, wystarczą!

Teraz każdy z inspektorów z osobna złoży mu meldunek, on zaś będzie musiał na tej podstawie sam zredagować obszerne sprawozdanie ogólne.

Podniósł słuchawkę, a gdy odezwała się centralka, poprosił:

— Proszę połączyć mnie z prokuratorem Dupont d’Hastier.

W chwilę później relacjonował:

— Zrabowane banknoty zostały odnalezione.

— Walizeczka także?

— Czy to aby nie za wielkie wymagania? Może jeszcze miała być wizytówka?

— Walizeczka na pewno płynie gdzieś z nurtem Sekwany albo została spalona.

— U kogo znaleziono pieniądze?

— U właściciela garażu.

— Co on na to powiedział?

— Jeszcze nic. Nikt go o tym nie powiadomił.

— Trzeba, żeby przy rozmowie z nim obecny był jego adwokat. Nie życzę sobie późniejszych sprostowań ani incydentów na sali rozpraw.



Gdy wreszcie korytarze Wydziału Śledczego opustoszeją, czterej zatrzymani, łącznie z Piękną Rozalią, zostaną odprowadzeni do aresztu policyjnego. Rozbiorą ich tam do naga — kobietę, oczywiście, w innej izbie — dla przeprowadzenia badań antropometrycznych. Co najmniej dwóch z nich miało już podobne doświadczenie za sobą.

Zostaną ulokowani na razie we wspólnej celi na parterze, a rano, przed przewiezieniem ich do więzienia Santé, przesłucha ich sędzia śledczy.

Sprawa wpłynie na wokandę sądową nie wcześniej niż za kilka miesięcy, a przez ten czas powstaną inne bandy podobnego typu, równie występne... Ale to wszystko będzie już obchodziło kogo innego, nie komisarza Maigreta.

Maigret wszedł do pokoju, w którym inspektor Lucas przesłuchiwał Rozalię. Stała w postawie wojowniczej, trzymając się hardo za boki, a Lucas cierpliwie wystukiwał na maszynie dwoma palcami to wszystko, co wykrzykiwała:

— Wy sukiny!... Zadowoleni jesteście, co? To, że Fernand jest na wolności, nie dawało wam spokoju, musieliście zrobić wszystko, żeby go wsadzić z powrotem, co? Nie wstyd wam czepiać się kobiety, do której przychodziliście — już nie pamiętacie po co? A nie byliście zadowoleni ze mnie, jak wam czasem szepnęłam na boku to i owo?...

Tylko ona jedna, niezmordowana, tylko ona nie straciła energii i nie była senna... po nie przespanej nocy!...

— Specjalnie, żeby mnie upokorzyć, oddaliście mnie w ręce takiego chudzielca, karzełka, najmniejszego z was wszystkich... Takiego jak on ja bym jednym palcem...

Maigret z ukosa rzucił okiem na Lucasa, po czym oświadczył:

— Idę się położyć na godzinkę, dwie. Muszę odpocząć. A forszę znaleziono.

— Cooo?! — wrzasnęła Rozalia.

— Nie zostawiaj jej samej, Lucas! Zawołaj kogo chcesz, żeby dotrzymał jej towarzystwa, może być wysoki, skorzej tak na tym zależy. Ulokuj ją w moim gabinecie.

— Zrobi się, szefie!

Maigret wyszedł. Na dziedzińcu pełno było wozów policyjnych. Od wczoraj trwało ostre pogotowie.

Do domu odwieźli go radiowozem.

— Położysz się chyba? — zapytała żona, rozścielając mu łóżko. — O której cię obudzić?

— O wpół do pierwszej.

— Tak wcześnie? Prześpij się lepiej parę godzin! Zrobić ci kąpiel?

Był za bardzo zmęczony, chciał położyć się jak najprędzej. Ledwo zdażył się zdrzemnąć, gdy rozległ się telefon. Wyciągnął rękę po słuchawkę.

— Halo! — mruknął gniewnie. — Słucham!

— Mówi Fumel, panie komisarzu.

— Przepraszam cię za ten ton. Właśnie zasypiałem. Gdzie jesteś?

— Na ulicy Marbeuf.

— Słucham.

— Mam wiadomość. W sprawie futra.

— Znalazłeś?

— Nie. I wątpię, czy znajdę kiedykolwiek. Ale taka burka futrzana była. Na stacji benzynowej przy ulicy Marbeuf. Właściciel mówi, że coś takiego widział. Twierdzi, że nie dalej jak przed tygodniem.

— Jak to się stało, że zapamiętał?

— Bo rzadko kiedy można zobaczyć burkę na nogi, zwłaszcza futrzaną, w wozie sportowym...

— Kiedy to było, którego dnia?

— Nie wie dokładnie, ale twierdzi, że niedawno. Przed dwoma, trzema dniami. Kiedy Wilton-junior brał u niego benzynę, już tej burki nie widział.

- Sporządź mi raport.
- Czy to będzie miało jakieś znaczenie, panie komisarzu?
- Żadnego! — mruknął Maigret.

Chciało mu się spać, nie miał ochoty przeciągać tej rozmowy. I w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby ta burka została odnaleziona, nie będzie to miało żadnego znaczenia...

Odłożył słuchawkę.

Wyobraził sobie kwaśną minę sędziego śledczego, gdyby przyszedł mu zrelacjonować, czego się dowiedział.

„Honoré Cuendet, w nocy z piątku na sobotę, około godziny pierwszej, zakradł się do pałacyku Florence Wilton, z domu Lenoir, przy ulicy Neuve–Saint–Pierre...”

„Skąd pan to wie?”

„Ponieważ od pięciu tygodni obserwował ten dom z okna pokoju wynajętego w hotelu »Lambert«...”

„To znaczy, iż na podstawie informacji, że jakiś osobnik wynajmuje pokój w hotelu o dwuznacznej reputacji, pan wyciąga takie wnioski”...

„To nie jakiś osobnik, tylko wiadomo kto. Honoré Cuendet, który od lat prawie trzydziestu...”

I wówczas opowiedziałby sędziemu o dziwnych upodobaniach i metodach Cuendeta.

„Złapał go pan na gorącym uczynku?”

Maigret musiałby przyznać, że nigdy mu się to nie udało.

„Miał klucze od bramy tego pałacyku?”

„Nie”.

„Był z kimś, kto tam pracował, w zmowie?”

„Mało prawdopodobne”.

„A pani Wilton była wtedy w domu?”

„Tak”.

„I służba?”

„Także”.

„A więc?”...

„Cuendet nigdy nie wchodził do mieszkania, w którym nikogo nie było”.

„Przypuszcza pan, że ta kobieta”...

„Nie ona”.

„Tylko kto?”

„Jej kochanek”.

„Skąd pan wie, że ona ma kochanka?”

„Powiedziała mi to Olga, która mieszka w tym samym hotelu, naprzeciwko pałacyku”.

„Kto to jest Olga?”

„Prostytutka”.

„Widziała ich razem w łóżku?”

„Nie”.

„Tylko co?”

„Widziała jego samochód”.

„I kto to jest, ten jej kochanek?”

„Wilton”.

„Wilton?! Jej były mąż?”

„Nie. Jego syn”.

Obrazy stawały się coraz bardziej mgliste i coraz bardziej chaotyczne.

Maigretowi zdawało się, że widzi, jak sędzia śmieje się szyderczo, co nie byłoby w zgodzie z jego charakterem.

„To jakieś insynuacje... Ta pani i jej pasierb”...

„W swoim czasie ojciec i synowa”...

„Co to znaczy?”

I Maigret opowiedziałby to, co wiedział o Lidzie, pięknej modelce, która wyszła za mąż za syna, a została kochanką ojca.

Czyżby takie rzeczy były możliwe? Czy taki człowiek, jak sędzia śledczy, poważny, stateczny, uwierzy, że...?

„Spodziewam się, że pan ma także i inne dowody”.

„Tak, panie sędzio...”

Zasnął widocznie na dobre, gdyż śniło mu się, że wyciąga z kieszeni malutką saszetkę, w której znajdują się dwa ledwo widoczne włoski.

„Co to jest? Co to ma być?”

„Włoski, panie sędzio...”

Tak, to na pewno sen, to muszą być senne rojenia, gdyż sędzia indagował dalej:

„Włoski? Z czego?”

„Z sierści”.

„Z jakiej sierści?”

„Żbika”.

„Żbika?”

„No, dzikiego kota”.

„Jakiego kota? Dzikiego? Skąd się tam wziął dziki kot?”

„Nie kot, tylko burka futrzana... Pled na nogi z futra żbika”.

„I co jeszcze pan powie?”

..Przypuszczam, że Cuendet, pierwszy raz w życiu, mimo tak długiego doświadczenia, potknął się albo może coś przewrócił, narobił hałasu... I tamci zbudzili się, zaalarmowani”.

„Mogli przecież wezwać policję!”

„Właśnie, że nie mogli. W ich sytuacji!”...

Znów myśli zaczęły mu się płątać. No tak: Stuart Wilton dowiedziałby się o wszystkim, a Stuart Wilton ma pieniądze, dużo, dużo pieniędzy...

Ani Florence, ani jej kochanek nie znali intruza, który wtargnął do jej sypialni. Człowiek, który ich przyłapał in flagranti, byłby niebezpiecznym świadkiem. Nie mogli do tego dopuścić. Musieli go zlikwidować.

I na wszelki wypadek tak zmasakrowali jego twarz, żeby był nie do rozpoznania. Zapewne silnie krwawił. Trzeba było zmyć ślady. A potem — do bagażnika...

A w bagażniku leżała futrzana burka...

„Pan rozumie już teraz wszystko, panie sędzio?”

I podsuwa mu przed oczy saszetkę z oskarżycielskimi włoskami...

„Kto panu powiedział, że to futro z dzikiego kata?”

„Ekspert”.

„A na rozprawie sądowej zjawi się inny rzeczoznawca i będzie śmiał się z tamtego, i powie, że to sierść jakiegoś całkiem innego zwierzęcia...”

Sędzia śledczy będzie miał rację. Tak się to odbędzie. Narazi się tylko na śmieszność...

Adwokat, wymachując szerokimi rękawami togi, powie:

„Zastanówmy się chwilę poważnie, panowie sędziowie przysięgli... I to ma być dowód rzeczowy na poparcie oskarżenia? Dwa włoski...?”

Wszystko to może potoczyć się całkiem inaczej oczywiście.

Maigret może na przykład udać się sam do pani Florence Wilton. Może wziąć ją w krzyżowy ogień pytań, może przewrócić jej mieszkanie do góry nogami, może przesłuchać służbę...

Może poprosić do swego gabinetu Wiltona—juniora i porozmawiać z nim w cztery oczy.

Może?... Ej, niezupełnie! Nie byłoby to zgodne z regulaminem... Przecież to nie on prowadzi śledztwo w sprawie Cuendeta!

„No i widzi pan sam, Maigret. Lepiej dać spokój fantazjowaniu... Niech pan zatrzyma sobie te włoski żbika na pamiątkę...”

Racja, lepiej zostawić tę sprawę w spokoju. I tak by ją zatuszowali. Jakie ma znaczenie dowód rzeczowy? Żadnego — tak jak właśnie powiedział Fumelowi.

Fumel... biedaczysko! Wiecznie uwikłany w jakieś historie sercowe... Wiecznie zakochany nieszczęśliwie... Może uda mu się pocieszyć Ewelinę? Może ona wreszcie da mu trochę szczęścia?

Tak, stara Justyna z ulicy Mouffetard wiedziała, co mówi: „Znam mojego syna... Jestem pewna, że on nie zostawi mnie bez niczego”.

Ile pieniędzy mogło być w...?

Nigdy się tego nie dowiemy.

Maigret spał mocno.